Nr. 28. Warszawa, dnia 1 (13) Lipca 1895 r. Rok XV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2. rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

ZMIANA RZĄDU W ANGLII.

Dnia 29 czerwca u steru Anglii stanął nowy gabinet. Podano już spis szesnastu jego członków; dwóch najmniejszych, a mianowanych później, możemy spokojnie pominąć. Zamianował Salisbury wielu jeszcze podsekretarzy, ale ci już do gabinetu nie należą i tylko w parlamencie będą pomocnikami ministrów—do mówienia. Nowy rząd szybko się uwinął z parlamentem, zaledwie objął władzę, już go rozwiązał W sobotę rozpocznie się już okres ściśle wyborczy; niektóre okręgi, gdzie się przekonania i stronnictwa ostro wyodrębniają, są już do wyborów gotowe. W początku sierpnia zbierze się już nowy parlament.

Ta szybkość działania była dla stronnictw sprzymierzonych, w imieniu których Salisbury przyjął spadek po niefortunnym Roseberym — konieczną. Anglią rządzi parlament. Król nie jest tam bynajmniej jakąś potęgą od niego wyodrębnioną, ale owszem, ściśle weń jakby wtłoczoną; stoi na jego czele—*caput parliamenti*—nie jako głowa właśnie musi być i jest częścią organizmu parlamentarnego. Ministrowie wychodzą z parlamentu, są jego pełnomocnikami i komisarzami i innych już w XVII w. przedstawiciele narodu uznawać nie chcieli. Duch, program, czyn każdy ministra jest, a jeżeli nie jest, to być powinien, duchem, programem, czynem samego parlamentu. Stąd też takie musi być ministeryum, jakim jest parlament, a ściśle biorąc, Izba niższa—jej większość.

Kiedy Gladstone oddawał Roseberemu przewództwo rządowe w r. 1894, ta większość szczerze-liberalna w Izbie miała 20 głosów przewagi nad sprzymierzonymi unionistami i zachowawcami. Kiedy Rosebery zdawał pieczęcie państwa królowej, liberalni nie mieli już nawet pewnych dziewięciu głosów przewagi nad przeciwnikami, a zupełne usunięcie się Gladstone'a na przedśmiertne ustronie i tej jeszcze przewadze odebrało urok wiary i nadziei, jakim talent opromienia masy. Zawsze jednak była to większość, parlament miał sygnaturę liberalną i gabinet unionistowsko-zachowawczy nie mógł być komisyą parlamentu. Można go było tolerować, ale niepodobna było uznać, i on sam musiał się uważać mniej więcej tak, jakby się włamał do cudzego mieszkania. Czemprędzej też wyszedł z fałszywego położenia.

W Anglii do rządów rzeczywiście powoływane są stronnictwa i one je rzeczywiście sprawują, gdyż rdzeniem zbitej większości w Izbie niższej jest zawsze jedno ze stronnictw narodowych angielskich, działające samo lub w przymierzu z innemi. Każde stronnictwo takie jest zawsze do rządów gotowem, ma zawsze swój program: może nie mieć parlamentu, tj. większości własnej w nim działającej, ale musi mieć zawsze pewną sumę niezbędnych zamiarów, zamysłów i postanowień dla życia politycznego całego narodu. Mieli ją też i zachowawcy już w pierwszej chwili po głosowaniu w nocy z d. 20 na 21 z. m. nad mocyą Brodricka.

Postęp cywilizacyi, zatarcie się ostrych przeciwieństw klasowych, rozwój zewnętrzny potęg politycznych świata i wewnętrzny — tak zwanej idei państwowej, ogólne odczuwanie potrzeby porządku i w pewnej mierze ludzkości w stosunkach społecznych — niewiele już zostawiły z tego *toryzmu* i *whigizmu*, które charakteryzują panowanie Wilhelma III i Maryi, przez cały jeszcze wiek XVIII dają obraz dwóch walczących z sobą obozów, i nawet podczas wojen napoleońskich i za restauracyi, wyodrębniają się jeszcze w dwa niezgodne z sobą, częstokroć wręcz przeciwne sobie prądy. Reforma wyborcza 1832 r., przeprowadzona wbrew *tories*'om, reformy późniejsze, które ją uzupełniły, demokratyzując coraz bardziej i zasadę wyborczą i samo źródło parlamentu — naród dokonywający wyborów, przy postępie światła i uspołecznienia, przy współdziałaniu wielkich wypadków dziejowych w samej Anglii i w świecie—pozacierały wiele różnic pomiędzy stronnictwami niegdyś biegunowo sobie przeciwnemi i programy rządowo czyniły coraz bardziej narodowemi, coraz mniej zakażonymi wyłącznością stronniczą.

To też i w programie Salisbury'ego znalazły się rzeczy jakby wyjęte z programatu liberalnych; opieka nad ludem, poprawienie mu współczesnych warunków trwania, ulepszenie prawych podstaw bytu ekonomicznego: na to podpisałby się i każdy liberalny. Rzeczywistą różnicę stanowią dopiero hasła, wydawane przeciwko Irlandyi i przeciwko odpaństwowieniu kościoła w Walii. Zachowawcy i zespoleni z nimi unioniści nie chcą dać samorządu irlandczykom nie chcą pozwolić na rozerwanie sojuszu prawnego między kościołem a państwem w prowincyi, którą uważają już za rdzennie angielską, jak nie pozwoliliby na rozerwanie go w samej Anglii. Pod temi dwoma hasłami odbywać się będą wybory, trzecie zaś—„Reforma Izby lordów“—pomocniczą tylko rolę grać będzie. W samem stronnictwie liberalnem nie wielu

ma ono wyznawców. A nad wszystkie głosy wzbija się, z jednej strony: „*Home rule* dla Irlandyi," z drugiej: „Precz z Irlandyą!"

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

W Anglii królowa rozwiązała parlament i zarządziła nowe wybory do Izby Gmin. Wyborcy zbiorą się w niektorych okręgach już w sobotę.

We Francyi p. Hanotaux miał wielką mowę, a w niej wielkiemi wyrazami apoteozował dzisiejszą rzeczpospolitę. Zapowiadany wielki wypadek, który miał się stać zaraz po uroczystościach kielskich, dotychczas się nie stał. Miało to być ostateczne uwieńczenie stosunku, zawiązanego w r. 1891 przez odwiedziny floty francuskiej w Kronsztadzie.

Na Madagaskarze odnieśli francuzi już daleko od brzegów największe z dotychczasowych swych zwycięztw; ale to nie uspakaja obaw o ostateczny los wyprawy. Żołnierze chorują, a im głębiej zapuszczają się w kraj niegościnny, tem gorzej czekają wojsko gen. Duchesne warunki zdrowotności. Rząd przyznaje się tylko do 10% chorych; w rzeczywistości chorobom, głównie dyzenteryi, ulega 25%. Jeżeli wyprawa nie skończy się pomyślnie przed wrześniem, nie wróżą jej nic dobrego.

W Przedlitawii przyszła na porządek dzienny Izby dep. sprawa gimnazyum w Cylei. Niemcy szaleją z rozpaczy nad grożącem im nieszczęściem — że dzieci małego miasteczka i okolicy będą miały własną szkołę. Głosowanie miało się odbyć już we czwartek.

Z Wiednia, z Rzymu i z Berlina zapowiadają zjazd hr. Gołuchowskiego z ks. Hohenlohe w Aussee w Styryi. Ma się on odbyć już wkrótce, w każdym razie w lipcu.

Powstanie w Macedonii rzeczywiście jest marnem, ale na papierze gazeciarskim i w ustach członków komitetów macedońskich w Londynie wygląda wspaniale. Cała prowincya ma być najeżona zbrojnymi już, z całych tysięcy złożonymi oddziałami, które czekają tylko na hasło. Turcya gromadzi wojska, przestrzega Bulgaryę i w najgorszym razie liczy na roztropność Europy. Grecy występują przeciwko pretensyom macedończyków i bulgarów; bulgarowie nie uznają pretensyj serbskich; serbowie sięgają po to, co leży w bezpośredniem ich sąsiedztwie.

W Serbii przyszli do władzy postępowcy. Na czele gabinetu stanął Nowakowicz, z wybitniejszych Popowicz i Franasowicz są jego członkami. Nowi ministrowie wyjednali odrazu amnestyę dla radykalistów ze spisku Czebinacza na rzecz Karadżordżewiczów, przyrzekają dobre rządy i uleczenie chorej rzeczywiście, śmiertelnie chorej, skarbowości serbskiej. Garaszanin wraca do kraju z Paryża. Król okazał uprzejmość Risticzowi. Jak długo potrwa dzisiejsze widowisko maryonetek? Skupczyna ma zająć się rewizyą ustawy z r. 1888, a tymczasem zadawalnia się dawną z r. 1867.

Ks. Aleksander wyjechał — na kuracyą podobno. Mimo jego nieobecności ma się zmienić gabinet. Stambułowowi grozi uwięzienie. Deputacya bulgarska do Petersburga ma pierwszorzędne znaczenie.

BADANIA NAUKOWE.

DO JASNEJ GÓRY. *)

Częstochowa w życiu naszego ludu odgrywa olbrzymią rolę. Jest ona duchowym łącznikiem, który swojemi niewidzialnemi niómi spaja rozproszone i o sobie niewiedzące osady włościańskie, zbliża je i wiąże w całość ideową. Pobożność tłumów, działając w ciągu wieków, wyżłobiła tam stałe łożyska dla swego nurtu, wyrobiła formy spotkania pątników i wędrówki, wypracowała samorzutną organizacyę. O tem wszystkiem wiemy bardzo mało. Lubo o Częstochowie dużo się mówi, lecz swoją drogą nic a nic nie zrobiono dla zbadania tych stosunków, które zwolna powstały dokoła niej i utrwaliły się z biegiem pokoleń. Książki, poświęcone Jasnej Górze, opowiadają o doznanych cudach lub dziejach klasztoru, wymieniają kosztowne ofiary, któremi magnaterya nasza dziękowała ongi za otrzymaną pomoc. Milczą zaś o wszystkiem, co wychodzi za wązkie koło chronologii ofiarodawczej. Sądzę, że rzadko kto nawet pojął, co za nieocenione źródło zabytków i zwyczajów oczekuje tam badacza. Cała nasza kultura włościańska (istnieje ona bowiem, mimo że „starsi bracia" w narodzie nie chcą jej przyznać) znalazła swój wyraz najmocniejszy właśnie w czci dla Jasnej Góry, w produkowanych tam dziełach artyzmu religijnego, w ekstazie, ogarniającej pątników. To też z rzeczywistą ciekawością wzięliśmy do ręki książkę p. Władysława Reymonta, w której opisuje on swoją pielgrzymkę wśród takiej gromady pobożnych. Autor puścił się z kompanią, wiedziony chęcią przyjrzenia się duchowej fizyognomii świętej rzeszy i zbadania pulsu, uderzającego tam w zebranym tłumie. Wrażliwy i prosty, posiada on talent podchwytywania przyrody ludzkiej, odzianej w zwykłą siermięgę, oraz oddawania jej podmuchów. Wędrówka jego zresztą posiada wartość nietylko publicystyczną: utrwala ona w naszem piśmiennictwie nowe nazwisko, które zajmie w niem, tuszymy, miejsce nieposlednie.

Reymont, językiem bez efektów i dlatego silnym, oddaje swoje wrażenia: z dnia na dzień kreśli nam powstawanie jaźni zbiorowej, objętej ekstazą religijną, maluje swój stosunek do tłumów, w którym był pierwotnie jako kropla tłuszczu na powierzchni wody, odsłania duszę swoich towarzyszy. Może nie zamierzając, dał on nam powyższy przyczynek do psychologii gromadnej.

I.

Tak, cała wędrówka p. Reymonta to opis rodowodów jaźni zbiorowej i to nie zwykłej, ale organizującej się na podstawie tradycyi, przekazanej ustnie. Bo zaiste, czem jest kompania pątników? Z początku przedstawia ona zbiór osób sobie obcych, z których każda skądinąd przyszła. Gromadki swojaków giną w tem olbrzymiem, rozproszonem ciełsku, które niekiedy ciągnie się luźno na przestrzeni wiorst wielu. Ludziska rzucili dom i gospodarstwo, łóżko i pierzynę i puszczają się w podróż uciążliwą. Każdy może idzie z innem pragnieniem w duszy. Ale istnieje coś, co łączy wszystkich, z początku luźno, potem coraz silniej, wreszcie religijnie. Te drobne, szare sylwetki ludu, te profile ostre, twarze szorstkie i grube, postacie kwadratowe, pozginane pod tobołami już przy wyjściu z Pragi, czynią na swoim towarzyszu, zamierzającym ją opisać, silne wrażenie: miały one w sobie jakąś moc i namaszczenie ogromne. Był to

*) Z powodu Władysława Reymonta: *Pielgrzymka do Jasnej Góry*.

A. ŚWIĘTOCHOWSKI.

DUCHY.

CZĘŚĆ TRZECIA.

ZWIASTUN.

Heron.
Jakaż jest treść tej komedyi?

Anor.
Przyrzekłem Skitowi, że nie zdradzę jej przed wystawieniem.

Astjos.
Ale wesoła i krótka? Bo inaczej nie pójdę do teatru.

Anor.
Zadowoli cię.

Kobus.
Zaręczam, bo ją czytałem.

Anor.
Czytałeś?

Kobus.
Skit mnie prosił o przejrzenie jej, czy będzie dość zajmująca.

Anor.
To niepodobna! On by mnie nie ufał?

Kobus.
Widocznie.

Anor.
Skoro znasz mój utwór, to możesz go tym obywatelom opowiedzieć.

Kobus.
Tytuł: *Długi język.*

Anor
Ha, ha, ha.

Kobus.
Treść: Poeta sceniczny zbiera po mieście nowinki dla utkania z nich komedyi. Wyczerpawszy je zupełnie, zaczyna puszczać złośliwe plotki, które wywołują śród mieszkańców zabawne nieporozumienia i swary. Ale pewnego dnia poeta spostrzega, że nie może wsunąć do ust całego języka, który mu wyrósł nagle i dużym kawałkiem wystaje na zewnątrz. Przerażony moczy go w soku cytrynowym, ażeby się skurczył — ale to nie pomaga. Wtedy zwraca się do lekarza, który mu daje taką radę: złap wszystkie plotki, które rozpuściłeś, sparz je gorącą wodą w woreczku i przyłóż na języku — niezawodnie zmniejszy się.

Anor
To ma być treść mojej komedyi?

Kobus.
Najrzetelniejsza.

Anor.
Ażeby was przekonać, jak ten uczony mąż kłamie, objaśnię tylko, że utwór mój ma tytuł: *Artystka* i przedstawia żonę bogatego obywatela, wielką miłośniczkę sztuk pięknych, która każe młodym i ładnym niewolnikom stać bez odzieży w różnych pozach na podstawach kamiennych w ogrodzie podczas jej spaceru i udawać posągi.

Kobus.
W każdym razie moja opowieść jest prawdziwa, bo gdybyś nie miał za długiego języka, to byś dotrzymał przyrzeczenia Skitowi i nie wtajemniczał nas w osnowę swej sztuki.

Heron.
Złapał cię.

Astjos.
Zgrabnie.

Anor.
Ale to podstęp nieuczciwy, gdyż Skit

materyał przyszłej jaźni duchowej. Zresztą namaszczenie zjawia się w pierwszych dniach tylko podczas chwil uroczystych, w zwykłej zaś powszedniości przeważa jeszcze rozproszenie. „Kto śpiewa to śpiewa, reszta pielgrzymów gawędzi z cicha. Słyszę najrozmaitsze szczegóły o gospodarstwie, wsiach, ceny zboża zdają się ich najbardziej interesować. Na wszystkie strony krzyżują się zapytania: skąd brat? skąd siostra?“

Ale istnieją tam w gromadzie czynniki, zwolna dokonywające jej przeobrażenia: usuwają one niejednolitość, podniecają ducha zbiorowości i harmonii. Jako zasada ogólna, pątników obowiązuje równość ewangeliczna, przekazana przez tradycyę. Znikają godności i odróżnienia, zwyczaj bowiem nie pozwala do nikogo mówić inaczej, jeno: „święty bracie,“ „święta siostro.“ Rzecz to z pozoru błaha, ale ważna w swoich skutkach. Osoby, które się dotychczas nie znały, są wzajemnie postawione w pewnym szczególnym stosunku. Powstaje odrazu zażyłość, wzrastająca w swojej mocy w miarę wędrówki. Zwolna znika nawet różnica pomiędzy „mojem“ a „twojem,“ ten kto ma, karmi łaknącego i obraża się, jeśli za to podają mu kwotę pieniężną: „Zachciałeś, bracie, ukrzywdzić dobre dusze — wyrzucają towarzyszki podróży p. Reymontowi — zapłacić za dobre serce groszakiem! To nie jest poczciwie i nie po szlachecku!“ Człowiek naprzód nagina się do wyrazów i zwrotów, nakazywanych przez tradycyę, czyniąc im zadość machinalnie. Ale dźwięk prosty: „bracie!“ na tle wzrastającej ekstazy, zaczyna zamieniać się na czyn braterski, cczą formuła ożywa i napełnia się duchem. Znaczenie symbolu w życiu społecznem, pozornie jałowego i bezbarwnego, występuje w swojej pełni. Zwłaszcza braterstwo to uwydatnia się w pobliżu Jasnej Góry, w ostatnich dniach pielgrzymki. „Sypiam— opowiada p. Reymont o sobie — pod tem dobrem słońcem, jadam, co jest, jeśli jest, idę jak wszyscy. Żądają czegoś, daję—jeśli mam. Nie jem i nie piję nic więcej nad chleb i herbatę. A nie mam tego, to nie idę już szukać po chałupach, bo wiem, że ta siostra, co obok, ten brat, co przede mną i ci wszyscy dokoła, których przyjazne spojrzenia często odczuwam, pospieszą mi z kromką w imię braterstwa... Będę chory, to mnie wsadzą na wóz i powiozą. Będę biedny, to bez tańczącej filantropii nakarmią mnie, zbiorą wytartych groszaków i dadzą — i prosto to zrobią i szczerze. Umrę, to mi na jakim przydrożnym cmentarzu usypią mogiłę, pokryją tarnią, wsadzą wierzbę płaczącą i pójdą, a o każdej wiośnie, gdy tędy przechodzić będą, rzucą gałąź tarniny lub pęk sasanek leśnych.“

Istnieje też w kompanii hierarchia organizatorów, których zadaniem jest podniecać ducha, zagrzewać upadających, gromić krnąbrnych, walczyć ze swawolą i rozpustą. Oni to poddają pieśni, które swojem brzmieniem skracają mozoły drogi, oni to na noclegach czytają ustępy święte. „Gdzie wy idzieta, bracia i siostry — woła jeden z takich kierowników do gromady o świcie pod krzyżem, karcąc ją za dostrzeżoną swawolę.—Czy idzieta na jarmark? To czemu krzyż jest z wami? Czy do karczmów na zabawę albo na wesele? To czemu pobożne pieśni śpiewata, imienia boskiego używata? Bo wy nie idzieta na odpust, ludzie, nie! Na rozpustę idzieta ludzie, a nie do Matki Najświętszej!“ Ci bracia starsi są to ludzie prości, ale umiejący przemówić do serca prowadzonej rzeszy i brać tony na tym instrumencie tworzącej się zbiorowości, dzielni w radzie, stanowczy w potrzebie.

Istnieją po drogach przybytki, równie przeznaczone do oddziaływania w tym samym duchu. Są to kościoły, nieraz zwykłe, przydrożne krzyże. Tam kompania staje na czas jakiś, orzeźwi się w kąpieli podnieconego zachwytu, wzmocni swoje siły duchowe na dalszą drogę.

Tradycya, zorganizowana i zaklęta w zwrotach symbolicznych, upostaciowana w dziełach z kamienia lub drzewa i nie posiadająca ciała materyalnego, czyha po drodze na pątników, luźne gromadki zbliża, wyklina rozdźwięk duchowy i stwarza jaźń zbiorową. Ale najwytrwalej i najsilniej oddziaływa sama Częstochowa. Im bliżej ona, tem większy rozmach siły wewnętrznej, tem większe zaparcie. Słońce paliło, kurz zapierał piersi, zmęczenie obciążało wszystkie członki, ale myśl o tem, że Jasna Góra coraz bliżej i bliżej, pokrzepiała upadających ze znużenia. Aż wreszcie, na pewnej odległości, zapanowała jedynie w umysłach: „Myśmy mijali lasy, przechodzili wsie, łany zbóż, strumienie, i parliśmy się, jak jaka rozpętana, żywiołowa siła, do tego punktu przyciągania, co tkwił w każdym mózgu i w każdem sercu rozrastał się coraz potężniej i oddziaływał coraz silniej. Już nie słychać było gawęd ani żartów, pieśni śpiewano żarliwiej i liczniej. Pod każdym krzyżem czołgano się w prochu, całowano nietylko krzyż, ale i sztachetki, kamienie, które pod nim leżały. Ciała znikały, pozostawały tylko twarze w rysach i wyrazie i oczy coraz więcej płonące gorączką. Indywidualności milkły i zlewały się z sobą. Nie było już znać szlachty, chłopów, mieszczan, kobiet ani mężczyzn, wszystko spływało się w tej jednej, rozpalonej do białości fali uniesienia religijnego. Na odpoczynkach walili się na ziemię, jak kloce drzewa i za pierwszym odgłosem dzwonka już stali gotowi, już szli i zaczynali śpiewać. Większość żyje suchym chlebem, który dźwiga na plecach, a nikt nie dba, czy jadł, czy spał, czy jest chory, czy upał lub zimno — tylko pada, podnosi się i idzie z coraz większem natężeniem.“ Tak dzieje się już na parę dni przed dojściem do Jasnej Góry. Wreszcie kompania dostaje się do okolicy górzystej, leżącej bezpośrednio przed miejscem świętem. Ostatni to dzień pielgrzymki! Idą tak prędko, że wszystkie piersi rzężą. Na każdym szczycie wszystkie oczy zanurzają się w mgle i niespokojne, gorące spojrzenia szukają konturów wieży klasztornej. „Naraz jakiś dreszcz dziwny przeleciał po tłumie. Słońce podniosło się po nad mgły i w dali, wprost nas, zarysował się cień, niby majak wyniosły, i zapadł się, bo mgły zakłębiły się. Niby jęk zawodu zaszemrał... Ten dreszcz, przenikający co chwila, tak oślepiał i ubezprzytomniał, że darli się wprost naprzód. Krwawych piętn na ziemi i kamieniach było coraz więcej, ale szli bez uwagi na ból, na krew płynącą z nóg...“ Słońce podniosło się i odsłoniło wieżycę. „Wszystkie oczy uderzyły o tę górę z wieżycą na szczycie. Maryo! buchnęło jak płomień z tysięcy piersi i tysiące ciał runęły na ziemię z krzykiem radości. Widok ten, niby orkan, rzucił te wszystkie głowy w proch. Zaczęły płynąć łzy rozradowania, a oczy promienieć radością, wszyscy się trzęśli w łkaniu, co serca rozsadzało, i nie było ani jednej duszy, ani jednej woli, coby nie leżała w zachwycie łzawym. I ten płacz tak się podnosił, że przechodził w jęk, w ryk prawie, zalewał mózgi i serca i stapiał wszystkich w jedną bryłę drgającą w łkaniu, w jedno czucie, wyrywał ze wszystkich serc smutki, bóle, całą gorycz istnienia. I ta głęboka, boska poprostu przez moc swoją rytmika płaczów, próśb i entuzyazmów długo dźwięczała w powietrzu, okręcała wszystkie ciała, przepalała je niby wicher ognisty i przekuwała dusze na inną miarę. Popowstawali i wszystkie twarze rozsłoneczniły się nagle, spotężniały w wyrazie. Zaśpiewali pieśń do Matki Boskiej i szli z siłą światłości dziwnej

---

zastrzegł, że mi nie zapłaci, jeżeli komukolwiek zwierzę się z tajemnicą.

Kobus.

Nie martw się, wynagrodzi cię podwójnie. Po dzisiejszym edykcie komedya będzie miała u mężów powodzenie.

Astjos.

Poszedłbym na nią, gdyby rolę artystki grała kobieta, a niewolnicy byli żywi.

Anor.

Tak będzie.

Astjos.

No, to idziemy wieczorem do teatru.

Anor.

Będziecie mi wdzięczni, szanowni obywatele i spodziewam się, że po przedstawieniu wynagrodzicie mnie bodaj skromnym wieńcem.

Kobus.

Nie odmowcie mu tego niewinnego i taniego zaszczytu. Dziś w Godonie już nie potrzeba laurów dla uwieńczenia poetów, wystarczy jakakolwiek zielenina.

Anor.

Nie, obywatele, proszę przynajmniej o dębowe liście.

Kobus.

Niebaczny człowieku, zgódź się na wieniec z sałaty, będziesz go mógł przynajmniej po wyjściu z teatru zjeść.

Anor.

Co ja ci złego zrobiłem, Kobusie, że mnie tak ciągle bodziesz?

Kobus.

Piszesz komedye i wystawiasz je na scenie — czy to nie dosyć?

Anor.

Możesz ich nie słuchać.

Kobus.

Kiedy ja chcę bywać w teatrze.

Anor.

Więc dlatego, że tobie nie podobają się moje duchowe dzieci, mam rozwieść się z moją muzą?

Kobus.

Powinienbyś to zrobić jak najprędzej, gdyż ona zdradza cię dla innych, a tobie podsuwa swoją niewolnicę.

Anor.

Obywatele, zrzekam się wieńca, abyście tylko po przedstawieniu powiedzieli temu śmiałkowi, że jest potwarcą.

Heron.

Zacni mężowie i kochankowie muz, uspokójcie się, bo idzie ku nam jakiś wspaniały orszak. Niewolnicy niosą tu kogoś w lektyce. Kto to być może? Jakiś magnat. A! poznaję... Wir-Wir...

Astjos.

Ten najbogatszy człowiek w Godonie?

Anor.

Rzeczywiście on?

Heron.

Tak, ten, potomek najstarożytniejszego rodu, właściciel niezliczonych warsztatów, kopalń, dóbr ziemskich. Musimy z nim się poznać.

Widok 10.

Wolno, jak gdyby posuwały się nie ciała ludzkie, lecz płat ziemi, na którym one nieruchomo stały, szedł orszak, śród którego sześciu niewolników dźwigało lektykę z białej, błyszczącej blachy srebrnej, wewnątrz wysłanej puchowemi poduszkami z żółtem, jedwabnem pokryciem. Siedział w niej z opuszczoną głową i z obrzękłą twarzą starzec, którego obwisłe usta, mrucząc niezrozumiale, wykrzywiały się co chwila bólem. Po obu bokach lektyki jeden niewolnik chłodził pana wachlarzem ze strusich piór, a drugi płasko rozpiętym zielonym parasolem zasłaniał go od promieni słońca. Przodem czarnoskóre karli-

w oczach, z uśmiechem na chudych twarzach, pełnych śladów utrudzenia, a akcenty tego hymnu tryumfalne biły nad ziemią.“

Do tego opisu można dodać coś, nawet bardzo wiele, ale przenigdy odjąć. Sądzę jednak, że dodać mógłby nie pisarz, posługujący się piórem i utrwalający jedynie obrazy. To tylko muzyk zdobyłby się na ujęcie w potężnej melodyi tego wybuchu namiętności, tej rytmiki ekstazy, połączonej pospołu z płaczem i dreszczem nerwowym.

Nazwałem pracę W. Reymonta przyczynkiem do psychologii zbiorowej. Czytając jego pielgrzymkę, mimowoli wciąż zabiegałem wyobraźnią w przeszłość dziejową. Jego prosta opowieść odsłoniła mi więcej psychologię krzyżowców, ciągnących na oswobodzenie z rąk pogańskich grobu Chrystusa, aniżeli sążniste monografie, tak obfitujące w szczegóły, ale w których nieobecny jest właśnie duch rycerzy-pątników. Po krzyżowcach przesunęły się tłumy biczowników, później inne obrazy, i jeszcze inne. Tam,“ na stronicach „Pielgrzymki, w miarę jak je przerzucamy, tworzy się jaźń zbiorowa, nie chwilowa, lecz tygodniowego życia, nie zwykła, ale rodząca się na podkładzie tradycyi. Istnieje tam staroczesny obyczaj, wypracowany w ciągu pokoleń, a oddziaływający od pierwszej chwili. Pobożni, którzy pozostawili go w spadku po sobie, oddawna spoczywają w grobie, lecz dzieło ich ducha zbiorowego żyje, przyspiesza powstawanie każdego nowego organizmu gromadnego, według wskazówek przeszłej empiryi przeciwdziała swawoli indywidualnej i rozpasaniu, stworzyło cement pożycia społecznego i normy wzajemnego stosunku. Zmarły panuje nad żywym i kieruje jego czynami, przyspiesza uderzenie jego serca, ekstazę jego nerwów. Nowy pątnik faktycznie, od chwili, kiedy stanął w szeregu, stąpa w ordynku — z nieżyjącymi. *L. K.*

LITERATURA I SZTUKA.

NASZA KRYTYKA TEGOCZESNA.

Bieżące piśmiennictwo polskie niemałym szczyci się pocztem publicystów, recenzentów i dziennikarzy, mogących rościć prawa do miana krytyków. W *Zarysie najnowszej literatury polskiej* (wyd. 3-cie, 1895), dr. Piotr Chmielowski wymienił ich kilkudziesięciu — oczywiście najcelniejszych, zaczynając od powszechnie znanych, jak pr. hr. St. Tarnowski, prof. Wł. Spasowicz, pr. Wł. Nehring, pr. A. Małecki, pr. R. Piłat, Kazimierz Kaszewski, Julian Klaczko itd., za którymi szeregiem ściśniętym postępują: Jan Bołoz Antoniewicz, Jan Amborski, Henryk Biegeleisen, Antoni Gustaw Bem, Władysław Bogusławski, Bronisław Chlebowski, Władysław Chodźkiewicz, Wiktor Czajowski, Adam Dobrowolski, Ludwik Dębicki, Wacław Gasztowtt, Władysław Górski, Walery Gostomski, Edward Grabowski, Napoleon Hirszband, Ferdynand Hösick, Dyonizy Henkiel, Zdzisław Hordyński, Stanisław Krzemiński, Józef Kotarbiński, Maksymilian Kawczyński, Józef Kalenbach, Ignacy Matuszewski, Mieczysław Pawlikowski, Ignacy Radliński, Aleksander Rombowski, Antoni Sygietyński, Józef Tretiak, Stanisław Witkiewicz, Bolesław Wilczyński, Stanisław Windakiewicz, Bronisław Zawadzki, Maryan Zdziechowski, — że już pominiemy poetów, romansopisarzy lub filozofów z powołania, zstępujących raz po raz z wysokich sfer ducha na nasze niziny polemiczne, aby śmiertelnikom obwieścić swe *quos ego*, jak np. Wiktor Gomulicki, Czesław Jankowski, Marya Konopnicka, Adam Mahrburg lub Jesko-Choiński. Rozumie się, że nie do wszystkich tych pracowników stosują się słowa d-ra Piotra Chmielowskiego wypowiedziane w ogólności — a raczej do kilku tylko rzadkich zupełnie wyjątków, zajmujących się wyłącznie układaniem podręczników, iż zużytkowują materyał nagromadzony w sposób nie metodyczny, obrabiają kilka ulubionych postaci lub tematów, o których nic nowego powiedzieć już nie można, obracają się w formułkach spowszedniałych, stereotypowych, powtarzają rzeczy nieraz już powiedziane, nie przynoszą nic do skarbnicy wiedzy, zajmują się kompilacyami lub nawet plagiatami, o żadną samodzielność się nie troszczą i ślepo idą za swymi poprzednikami (str. 380). Przeciwnie, niemal przy każdem z nazwisk powyżej wypisanych dr. Chmielowski nie szczędzi zaznaczeń wielce pochlebnych i dobrze świadczących o rozwoju naszej krytyki literackiej, artystycznej, społecznej i naukowej. Wymieniamy parę takich wskazań: Stanisław Krzemiński, odznaczał się zawsze sumiennością i szczerością zdania, przechodził stopniowo od okolicznościowych krytyk do coraz gruntowniejszych badań, w polityce, literaturze, teatrze, sądy swe motywował umiejętnie i skrupulatnie; Ignacy Matuszewski zajmuje się literaturą powszechną wogóle, nie wyłączając polskiej, a jego krytyki odznaczają się jasnością, trafnością poglądu i wdziękiem wyrażenia; Antoni Sygietyński zarówno w krytyce malarstwa jak i literatury odznaczał się przedewszystkiem jako wróg rutyny i wszelakiej starzyzny, lubo w wymaganiach swych okazał się jednostronnym, krańcowym, i t. d. (str. 391, 395, 397).

Zarys najnowszej literatury szwankuje jednakże w danym zakresie przez to najbardziej, że w książce o samym Chmielowskim nie mogło być mowy, wtedy gdy w rzeczywistości prace jego na tem polu zajmują miejsce nietylko wytyczne, lecz naczelne. Co prawda, na zapełnienie tej luki zdobyć się dziś nader łatwo, nawet bez odwoływania się do pomocy biografii pisarza, na którą jeszcze zawczesnie, lub do jego bibliografii, na którą, po Estreicherze, po „Wielkiej Encyklopedyi,“ jest już chwilowo za późno. Dla wytknięcia pierwszorzędnej roli, jaką Chmielowski odegrał w dziejach współczesnej krytyki naszej i górującego stanowiska, jakie w niej pozyskał, spis licznych dzieł jego staje się zupełnie zbytecznym. Poprzestać można na jednem z nich, — na tem, które w chwili obecnej obejmuje najszerszy chronologiczny okres sprawozdawczej jego działalności. Mamy na myśli „Naszych powieściopisarzy,“ (Kraków i Warszawa, t. I, 1887, str. 631, t. II, 1895, str. 489), w których monografia najdawniejsza — o początkującej twórczości Sienkiewicza — oznaczona jest datą 1872, studya zaś najświeższe — o Junoszy, Sewerze i w części o Prusie, pochodzą z r. 1894. W ciągu lat dwudziestu dwóch nagromadziło się tu więcej niż potrzebujemy mimowolnych wyznań i świadomych oświadczeń, odpowiadających własnemi słowy autora na pytanie: czem jest Chmielowski jako recenzent i krytyk.

Bez porównania większy psycholog niż estetyk. O sztuce i jej tajemnicach dr. Piotr Chmielowski ma dziś bezwątpienia wyobrażenie dokładniejsze i wytrawniejsze może, niż ktokolwiek z nas, piszących po polsku, ale to są w nim rzeczy naukowo przybrane i umiejętnie wyćwiczone; zdolności i upodobań wrodzonych, organicznych — mało. Terminologia artystyczna tak jest skąpa, że nawet definicye podstawowe, co do rysunku,

---

ce niosły na głowach szeroko otwarte naczynia, z których rozwiewały się mocne, orzeźwiające wonie. Z tyłu kroczył olbrzym brązowej cery, z wysoką, czarną trzciną. Starzec syknął krótko — orszak zatrzymał się.

Wir-Wir.

Ruf!

Idący za lektyką olbrzym przysunął się.

Ruf.

Jestem.

Wir-Wir.

Czy oni są zupełnie równi?

Ruf

Jak sześć jednakich miar.

Wir-Wir.

To ich obij, bo kołyszą lektykę.

Ruf.

Słucham.

Wir-Wir.

I nogami kurz podrzucają. Obij ich.

Ruf.

Słucham.

Wir-Wir.

Patrz, jak ten łotr trzyma parasol! Chce mnie żywcem upiec. Aj! Szpik mi gotuje się w kościach. A ten znowu wachluje, jak wicher. Powoli! Nie zięb mnie, podła duszo!

Heron.

Cześć moja Wir-Wirowi.

Wir-Wir.

Kto mówi?

Heron.

Heron.

Wir Wir.

Syn?

Heron.

Andra.

Wir Wir.

Dobre gniazdo. Witam. A kto obok?

Heron.

Astjos, brat mojej żony.

Wir-Wir.

Syn?

Heron.

Mira.

Wir-Wir.

Także ród zacny. Witam. A kto dalej?

Heron.

Kobus filozof i Anor poeta.

Wir Wir.

Aha!

Heron.

Czy nie lepiej byłoby ustawić lektykę pod drzewem? Tu za gorąco.

Wir-Wir.

Ja nie pies, przyjacielu, ażebym potrzebował szukać cienia pod drzewem. Powinienem go mieć wszędzie, gdzie się zatrzymam. Ale ty pewnie zauważyłeś, że ten niewolnik nie umie obchodzić się z parasolem? Ruf go nauczy.

Astjos.

Rzeczywiście, słońce tu zbyt dopieka.

Wir Wir.

Słońce jest wielki pan — wolno mu. zresztą szlachetnej skóry nie uczerni. Już tyle lat, obywatelu, cię smali, a jednak jesteś biały, bo pochodzisz z dobrego rodu. Tymczasem dziecko podłej krwi w tydzień się zabarwi, chociażby nawet w zimie na świat przyszło. Aj! Gdybym nie był Wir-Wirem, myślałbym, że kret śmiał wleźć w moje nogi i ryje w nich sobie norę. Ruf, wysuń mi poduszki z pod nóg. Choroba, to także wielka pani — jej wolno dotknąć każdego. Moi obywatele, powiedzcie mi, dlaczego tu nie widzę tłumu ludzi i nie słyszę wesołego gwaru?

Heron.

Owszem, przechadza się dosyć mężczyzn i kobiet.

Wir-Wir.

Wam młodym już dosyć, mnie staro-

kolorytu, z wielkiem tylko wysileniem mu przychodzą, spotykamy się zaś z nimi nader rzadko. Określenia architektoniczne już są nieco częstsze, lubo zawsze jeszcze ubogie, rzucane jakby od niechcenia, oschłe i krótkie, ograniczające się najzwyklej do stosunku najprostszego — całości do części i naodwrót. Od kilku, skądinąd świetnych uwag o wadliwej perspektywie pierwszych powieści Kraszewskiego, grzeszących „brakiem starania o całość" (I, 37), wzgląd ten powtarza się dość jednostajnie a bez przerwy wzdłuż obu tomów „Naszych powieściopisarzy." Krewkość i jaskrawość szczegółów, rozrzutność epizodów w Czajkowskim (I, 109, 111), jego urywkowy i fragmentowy sposób tworzenia (130); rozpołowienie „Listopada" Rzewuskiego, podtrzymywanie w nim jedności tylko tożsamością osób, wchodzących do pierwszej i drugiej części, bez zogniskowania ich około tej samej sprawy i zaniedbana kompozycya całości innych utworów (221, 287); nieumiejętność Zacharyasiewicza odziewania pomysłów szatą jednolitą i malowanie na skrawkach (478): ciągłe zbaczania Jeża od głównego wątku ku uboczom (552) i fałszywe tony Sienkiewicza, psujące wrażenie całości (567); mistrzostwo Korzeniowskiego w prawidłowem rozsnuwaniu wątka powieściowego (II, 88), a jednak pomimo to, nieproporcyonalność wymiarów części do całości (118); nie zawsze szczęśliwe u Sewera ustosunkowanie części składowych, z których jedne są więcej, drugie mniej rozwinięte (343); pamiętnik Rzeckiego w „Lalce" Prusa, psujący całość (553), — są to wszędzie stylowo tylko urozmaicone synonimy. O stylu, ozdobności frazeologicznej, oświetleniu krajobrazów kunszcie dyalogowania lub portretowania, Chmielowski wyraża się również półgębkiem, dorywczo, ulubieniec krytyka (na str. przytoczonej) opowiada „żywo, barwnie, oryginalnie," ale przechodzi częstokroć w manierę, objawiającą się w powtarzaniu wyrazów i wyrażeń, w ich szykowaniu i w ucinkowej rozmowie. Czajkowski „dokładnie opisuje zewnętrzną postać bohaterów, skrzętnie notuje dowody siły ich ramienia, unosi się nad ich męztwem, lecz nie lubi kreślić szczegółów ich umysłowości, rozumu, fantazyi, uczuć tkliwych lub wzniosłych" (I, 115). Sewer okiem artysty przypatruje się rzeczom i zjawiskom, wschodom i zachodom słońca, poświacie księżyca, wsłuchuje się w szmery i szumy borów, a robi to wszystko dlatego, że lubi naturę (II, 339). Junosza pobieżnie kreśli swe zdania, mało się zastanawia nad doborem wyrażeń, nie korzysta z ich odcieni, porównania i przenośnie bierze częściej z przypadkowych cech, aniżeli ze skarbnicy przyrody i głębin duchowych (446)... I tyle tylko w najdonioślejszych ustępach, w najuroczystszych okolicznościach. To, czego pewnemu twórcy nie dostaje w dziedzinie właściwości malarskich, rzeźbiarskich lub muzycznych, krytyk dojrzy, ale to, naczem mu w tym względzie nie zbywa, Chmielowski najczęściej pokrywać musi komunałem lub rachunkiem sumarycznym, szematycznym.

Natomiast, w dość pustych pokojach estetyki formalnej i w chybko a mgliście zakreślonych liniach ogólnego widoku na budownictwo artystyczne, tem swobodniej i przestronniej rozgościł się psycholog głęboki, rzadkiej przenikliwości, o niezmiernie pociągającym nastroju uczuciowym: mocno altruistycznym w gruncie, lekko pesymistycznym z wierzchu. Zdaje się być niewątpliwem, że początkowo hołdował on uwydatniającej metodzie Taine'a, aczkolwiek poszlaki w tej mierze są liche i odnoszą się wszystkie do czasów, kiedy ten tylko z naszego pokolenia nie ulegał wpływom tainizmu. kto się od nich zupełnie odgrodził grubym, nieprzeniknionym murem nieznajomości. Zdań w rodzaju sławnego orzeczenia: „Balzac obserwował życie jak naturalista" (I, 559), ze świecą-by dziś szukać w Chmielowskim. Ubieganie się o probierz taine'owskich „władz i namiętności górujących" — zdarza się niekiedy, ale najzwyklej jest bez znaczenia i bez następstw dłuższych. Kraszewski, który nie był tylko bierną kliszą fotograficzną, lecz dawał początek pewnym nowym kierunkom (I, 19); Jeż i jego sarkazm łagodniejący z biegiem lat, kiedy powieściopisarz przychylnie odczuwał postępowy ruch na polu pracy organicznej (541); Korzewski utylitarysta i przeciwnik sztuki dla sztuki (II, 148 — 152); Sztyrmer ze swoją czułością skrytą, zamkniętą w sobie i ciągle buntującą się nieśmiałością (158)— tyleż przypominają Taine'a, co i St. Beuve'a lub Brandesa i w roli wyznaczników psychicznych należą do stałego i powszechnego zasobu środków, jakimi recenzent posługuje się tam, gdzie chodzi o pokazanie, w czem twórca celuje, w czem chybia. Zmienność zresztą i przelewność owych mniemanych cech przeważających, nikomu lepiej nie mogła być znaną i nikomu dokładniej nie dała się we znaki, jak Chmielowskiemu właśnie, który latami całemi i lat dziesiątkami zamknięty w swem obserwatoryum, nauczył się nietylko spostrzegać, lecz poniekąd odgadywać, gdzie i kiedy pewne blaski zenitowe zanikają, a powstają inne. W zaznaczaniu i formułowaniu podobnych zlewków i przeobrażeń jest nasz krytyk jedynym, nieporównanym, a w pełni słowa samym sobą. Przytoczeń na to mamy bez liku. Do najpiękniejszych należą: Junosza w „Łaciarzu" i „Panu Metrze„: Gdy dowcip żartobliwy i satyryczny złączy się z serdecznem uczuciem, a jest wspomagany przez mniej lub więcej lotną fantazyę, która pozwala bez obrazy smaku przechodzić od jednego nastroju do drugiego, powstaje humor w znaczeniu estetycznem — i takim bywa humor Junoszy (II, 430). Ewolucya Prusa: Wybujała wyobraźnia, w objęciach zamiłowania ścisłości bodaj matematycznej przetwarza się w sarkazm, który chłoszcze biczami dowcipu, aż do protestu wrodzonego dobrego uczucia, a ono z kolei wykierowuje całość najpierw na ścieżki złotego humoru, następnie na świetlane drogi filozofii (II, 250, 364). Przedewszystkiem atoli niesłychanie mocna i dzielna ocena wszelakich przekształceń Rzewuskiego (I, 380 — 388), na temat, że wrażliwy ten umysł ulegał częstej przemianie, szczególnie w kwestyach, które za mniej ważne poczytywał, i że ta przewrotność przekonań nie była zupełnie nieświadomą, lecz wynikała z zasady, iż żaden umysł wyższy nie jest logiczny, była dowodem raz dumy pana i człowieka, żartującego sobie z wysileń tak zwanej przezeń trzody racyonalistów, drugi raz wypływała z okoliczności, pod których naciskiem hr. Henryk musiał uginać karku.

(D. c. n.).

J. T. Hodi.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z NIEMIEC.

Berlin, 9 lipca.

Kwestya profesorska jest na porządku dziennym życia społecznego Niemiec.

Nie pozyskałem pieniędzy, ni mienia,
Honorów ziemskich, ni władzy, świetności,
Pies się na dolę moją nie pomienia;

mógł niegdyś deklamować z Faustem niemiecki uczony. Spragnionemi usty ssąc

---

mu — nie. Dziś choroba od rana piłuje mi stawy najostrzejszymi bólami, ale kazałem się tu przynieść, ażeby zobaczyć wielką radość obywateli z ogłoszonego edyktu o niewolnikach.

Heron.

Istotnie, wszystkich on ucieszył.

Wir-Wir.

Tak? A gdzież są krzyki wesela, gdzie głośne zachwyty, gdzie rozpromienione twarze? Po wysłuchaniu takiej nowiny ludzie spokojnie przechadzają się i może mówią o najnowszych szlakach na sukniach kobiecych?.. Stygną dusze w nowszych pokoleniach. Za 50 lat nawet bogowie niczyjej krwi nie rozeznają, tak się pomiesza. Żaden z tych sześciu moich niewolników, których tu widzicie, od czasu jak mnie noszą, nie przemówił do mnie ani jednego słowa, a gdyby się poważył otworzyć usta, oniemiałby pod chłostą. Nie ręczę, czy z moim wnukiem nie będą rozprawiali przy wspólnym stole. Aj! Wolę śmierć, niż widok tego poniżenia. Ale było ono naturalnem od chwili, kiedy panom odjęto prawo karania niewolników śmiercią. Mamy śliczne rezultaty tej wyrozumiałości. Tysiące niewolników poszły sobie na spacer.

Astjos.

Chyba nie twoi, dostojny obywatelu.

Wir-Wir.

I moi. Ale ja ich wyłapię i wszystkich własną ręką napiętnuję. A nie będę znaczkował — przypalę zbojom mięso do kości. Chybabym umarł, zanim mi ich przyprowadzą. Aj! Pordzewiały mi zawiasy w nogach... a bogowie nowych wprawić nie chcą. Czy tego herszta, który niewolników buntuje, jeszcze nie poćwiartowano?

Heron.

Nie słyszałem.

Nadbiegł Tarlon.

Tarlon.

Wszyscy niewolnicy porzucili robotę i odeszli.

Heron.

Dokąd?

Tarlon.

Nie wiem. Podobno mają odpłynąć z innymi, którzy zgromadzili się w lesie, do Arjosa.

Wir-Wir.

Ha, ha, ha. Czy to prawda, że twoja żona chciała ich osadzić w pięknych klatkach i karmić siemieniem konopnem, ażeby jej ćwierkali, jak szczygły? Trzeba było to zrobić, to by ptaszki nie odfrunęły. Do widzenia się, moi obywatele.

Orszak z lektyką oddalił się w poprzednim porządku.

Heron.

Co tu począć?

Astjos.

Złapać ładną dziewczynę i przy niej o wszystkiem zapomnieć.

Heron.

Muszę jednak pojechać do domu i wysłać pogoń.

Astjos.

Nie kłopocz się, dogoni ich edykt.

Heron.

Jadę.

Astjos.

I na wieczornej zabawie nie będziesz?

Heron.

Wrócę, tylko się trochę spóźnię.

(D. c. n.).

z łona wiedzy, bujając w nadziemskich sferach teoryj i hypotez, nie troszczył się o dobra ziemskie. Gdy wszystko pędziło za wozem Plutosa, rozrzucającego wokoło siebie złoto, badacz i teoretyk z samopoświęceniem, równającem się umartwianiu ciała, rozłupywał w pocie czoła skały wiedzy, aby wydobyć drogocenny kruszec odkryć naukowych. W życiu praktycznem był poniekąd człowiekiem ograniczonym, widzącym nie dalej od swego nosa, safandułą i niezdarą, którego mogło wyprowadzić w pole sześcioletnie dziecko. Nie zasługiwał on na sympatyę jako filister, stroniący od wielkiego wrzątku życia i zatykający uszy przed jego zgiełkiem, w którym rozbrzmiewały przecież i skargi niedoli i niezadowolenia, lecz słusznie żywiono dla niego cześć, jako dla ideologa, ascety, który pracował, nie pytając się o zysk, w pustelniczej celi, zbudowanej w świecie ducha. (Jak daleko uczony może żyć ideą, niechaj świadczy następujący fakt: jeden z nich, przemawiając publicznie, użył charakterystycznego zwrotu: „mein Freund Heraclites.“ Na publiczności wyrazy te sprawiły silne wrażenie). Czasy atoli się zmieniły. Gorączka złota, która zgangrenowała pokolenie nasze do szpiku kości, pogoń za powodzeniem, łaknienie wygód, dobrobytu i związane z tem karyerowiczostwo, które nie przebiera w środkach i zasady etyki rozciąga na Prokrustowem łożu swych interesów, ogarnęły już i kapłanów wiedzy. Sumienna praca, zapał i talent miały niegdyś otwierać przed aspirantami Panteon wiedzy; dziś skutkują również inne środki i środeczki, zapożyczone z odmiennych nieco dziedzin działalności ludzkiej. Nauka staje się dla wielu nie celem, lecz środkiem, pomnażającym dobra ziemskie; to też gdy taki karyerowicz zbuduje sobie ciepłe gniazdko na jednej z gałęzi wiedzy, przekłada *dolce far niente* nad mozolne uprawianie niwy naukowej, co mu nie przeszkadza wygłaszać zdania tego rodzaju: „Właściwie jest na świecie tylko dwu fizyologów: pierwszym jestem ja, a drugim... lecz pocóż, panowie, wam wiedzieć, kto jest drugim?“ Kto miał jakiekolwiek złudzenia co do charakteru uczonych, mógł je łatwo rozwiać, przeczytawszy książkę, która się ukazała przed kilku tygodniami p. t.: „Die akademische Laufbahn und ihre ökonomische Regelung.“ Odrazu zwróciła ona uwagę świata uczonego i uczącego się, do czego w znacznym stopniu przyczyniło się to, iż bezimienny autor jest krwią z krwi i kością z kości ciała profesorskiego uniwersytetu w Berlinie. Autora przez całą książkę prześladuje obawa, iż posądzą go o chęć zdyskredytowania świątyni wiedzy w oczach *profanum vulgus*; odżegnywa się od zamiaru prania publicznie brudnej bielizny uniwersyteckiej, od czasu do czasu używa nawet pudru i różu przyzwoitości i wyraża się z wielką ostrożnością; książka jednak pomimo wszystkich fortelów i wykrętów, sprawia przygnębiające wrażenie. Okazuje się, że w zawodzie akademickim, jeżeli mi wolno użyć tego wyrazu, panuje najbardziej krzycząca nierówność. Obok magnata, liczącego swój dochód na setki tysięcy, widzimy hołysza docenta, przymierającego z głodu. Na jednego bogacza o zapewnionej rencie dożywotniej przypada co najmniej dziesięciu nieboraków, pozbawionych widoków wybrnięcia kiedykolwiek z trzęsawiska nędzy. Winien temu spleśniały system uniwersytecki, przypominający te czasy, gdy klika majstrów dorobkiewiczów obwarowywała siebie murem przywilejów dla zagarnięcia całej klienteli. Podstawą a jednocześnie stałą stroną organizacyi uniwersyteckiej jest zasada wolnej konkurencyi. Zdawałoby się, iż każdy profesor powinien uważać sobie za punkt honoru posiadanie licznego audytoryum. Cóż to za rozkosz rozwijać swe myśli przed wielką rzeszą słuchaczów i czuć, jak nić wywodów przenika do każdego mózgu! Prelegent widzi błyszczące oczy młodzieży; spostrzegając wyrazy skupionej uwagi i pracy myśli na ich twarzach, czuje, jak rozwijana przez niego nić wiąże audytoryum w jedno ciało o jednej duszy, której życie on dzierży w swoich rękach. Przy obecnej organizacyi uniwersyteckiej profesor zupełnie dla innych powodów stara się o liczne audytoryum. Daje to obok powodzenia znaczne dochody. Trzeba bowiem wiedzieć, iż zwyczajny profesor niezależnie od pensyi pobiera opłatę od swych słuchaczów. To dodatkowe wynagrodzenie jest wytworem ostatnich dwu stuleci. W miarę tego, jak dysputy, stanowiące niegdyś oś studyów uniwersyteckich, schodziły na dalszy plan, a dyscypliny nabierały coraz większego znaczenia — młodsi nauczyciele zaczęli za osobnem wynagrodzeniem wykładać podług metody z góry oznaczonej. Lecz oto z biegiem czasu ordynaryusze pobierają obok pensyj dodatkowe wynagrodzenie, młodzi zaś nauczyciele, prywatni docenci, wykładają przeważnie bezpłatnie. Wyraz „młodzi“ należy rozumieć *cum grano salis.* Wśród docentów widzimy bowiem dużo t. zw. „starych panien,“ ludzi w wieku podeszłym, oczekujących oddawna, kiedy wreszcie, będąc powołanymi, staną się wybranymi. Jest w tej liczbie spory zastęp ludzi zasłużonych, którzy zdołali zapisać swe nazwiska w historyi wiedzy. Nie wchodząc bliżej w przyczyny tego staropanieństwa, zaznaczę tylko, że koligacya, tak zwane szerokie plecy, miłe obejście (przez delikatność pomijam blagę) są i w świecie nauki uważane za zasługi, wobec których mięknie najbardziej zatwardziałe serce ludzi wpływowych. Z chwilą, gdy ktoś się staje profesorem zwyczajnym, może liczyć co najmniej na 8,000 marek dochodu. Ordynaryusza zwykle powołują do komisyi egzaminacyjnej. To powiększa nietylko zawartość jego kabzy, lecz oddziaływa również na stopień popularności. Studenci uczęszczają głównie na wykłady profesorów surowych. To też ostro egzaminujący mają nielicznych słuchaczów. Przed ordynaryuszem stoją otworem wszelkie drogi. Żadna redakcya nie odrzuci jego pracy; wszelkiego rodzaju komisye zapraszają go na członka; jeżeli należy do wydziału medycznego, ściąga do siebie pacyentów, nie mówiąc o tem, że rozporządza w tym celu bezpłatnie wszelkimi środkami i siłami pomocniczemi. W ten sposób profesor uniwersytetu może zarabiać rocznie do 200 tys. m. i więcej. Odpowiada to rocznej rencie 5—7-milionowego majątku i przewyższa pensyę kanclerza niemieckiego. Jeżeli porównamy profesora z przemysłowcem, to położenie pierwszego jest bezwarunkowo przyjemniejszem, chociażby z tego jedynie względu, że nie ponosi on ryzyka. Po bliższem wejrzeniu uderzają nas inne jeszcze nienormalności. Jeżeli fakultet wyznacza większą pensyę profesorowi, to tem samem wystawia mu świadectwo wielkiej powagi naukowej i powiększa drugą rubrykę dochodów, płynących bezpośrednio z kieszeni studentów. Na wielkość zaś gaży wpływają dosyć często okoliczności natury, zupełnie nie naukowej. Uniwersytet zawiera z profesorem umowę; jeżeli inna jeszcze wszechnica wyciąga ręce po daną siłę naukową, to dla „utrzymania się“ na licytacyi pozostaje tylko powiększenie honoraryum. Lecz podobnie jak w handlu, można i tu na licytacyi sztucznie zwiększyć popyt. W tym wypadku przychodzą z pomocą usłużni przyjaciele z innych uniwersytetów; luminarz nauki bywa zapraszany do innego miasta. Po długich ceremoniach oświadcza on wspaniałomyślnie, iż gotów jest pozostać wiernym starej *almae matris* za jakieś 30 tys. marek. Ten, któremu przyświeca gwiazda powodzenia, dyktuje swe warunki, kierując się najczęściej jedynie względami pieniężnymi. Handel ten odbywa się niby ku chwale tak okrzyczanej wolności uniwersyteckiej. Ordynaryusz jest chyba najniezależniejszym człowiekiem na świecie: kto się przyglądał, jak profesor traktuje swych asystentów, zrozumie ile słuszności tkwi w tem twierdzeniu. Docent, pomijając inne okoliczności, krępujące jego wolność, jest również zależnym od profesora. Gdy ogłasza jakiś wykład, to profesor ma prawo nałożyć swe veto, jeżeli sam chce wykładać dany przedmiot. A któż śmie zaprotestować, gdy on zmonopolizuje aż siedem wykładów! Nie myślimy tu bynajmniej ryczałtowo potępiać profesorów niemieckich i posądzać ich o bezwzględne przystosowywanie miłości nauki do wymagań życia praktycznego. O tej miłości świadczy poniekąd jeden dziwny zwyczaj, panujący na niemieckich uniwersytetach. Profesorowie tutejsi dobrowolnie nie opuszczają swego stanowiska, nawet wtedy, gdy przekroczyli już ósmy krzyżyk, nie bacząc, iż emerytura dorównywa pensyi. Najsmutniejszem jest to, że starzec tuczący młodzież swą przedpotopową mądrością, zamiast ustąpić miejsce któremu z kolegów, wyczekujących jak zbawienia nominacyi, do ostatnich chwil życia broni swej katedry przed „pukającą do drzwi młodzieżą.“ Dodajmy, że profesorowie naznaczają za swe wykłady niekiedy bardzo wysokie ceny; niektóre przedmioty są opodatkowane sumą 60 — 80 marek semestralnie. Cóż ma począć docent, nim zostanie profesorem? W ostatnich latach niektórzy poszli na legalne utrzymanie do córek plutokracyi. Docentura staje się miłym sportem dla ludzi zamożnych. Lecz jeżeli pominiemy takie rozwiązanie kwestyi, pozostaje tylko rozpołowienie działalności docenta, gdyż jest koniecznem poboczne zajęcie. Wrazie współzawodnictwa zwycięża docent majętny, wolny od troski o jutro. Gdy pozostaje na koszu, zaczyna w uniwersytecie odgrywać rolę starszej panny w domu, której młodsze siostry są zaręczone. Opinia kolegów nie wchodzi w szczegóły i sam fakt niepowodzenia wystarcza. Gdy ordynaryusze dopuszczają kogoś do swego grona, to wtedy jeszcze starają się sprzątnąć mu z przed nosa pewien ułamek pensyi. Tak np. na jednym z wydziałów w pewnym uniwersytecie zawarli przymierze, na którego mocy mają pobierać $\frac{1}{4}$ dochodów fakultetu, w razie gdyby mieli przybyć nowi profesorowie. Rzeczywiście trzej następni musieli pod groźbą odprawy poddać się narzuconym warunkom. Taki bezwstydny targ odbywa się w świątyni wiedzy. Kopciuszki uniwersytetu są traktowane ze wzgardą i lekceważeniem. Ordynaryusz, pobierający synekurę, pomiata docentem proletaryuszem. Sam rozwój uniwersytetów sprzyja temu. Berliński liczy np. 300 nauczycieli. Węzły braterstwa w tak licznej korporacyi rozluźniają się bardzo łatwo. Bogaci ordynaryusze wydają często okazałe bale, przyczem zapraszają tylko tych docentów, których widoki idą *a la hausse.* Zapomniałem dodać, że docentowi pozostaje jeszcze jedna droga: iść z prądem i węszyć w jaką stronę wiatr wieje, bić pokłony przed wpływowymi, a głównie łączyć się ze „szkołą.“ Biada śmiałkowi krnąbrnemu! Gdyby doszła nawet do niego kolej, wydział może orzec, iż przedmiot jest dostatecznie obsadzony i że zamiast danej katedry, warto stworzyć nową. Ręka rękę myje i w nauce. Sprawa polepszyłaby się nieco, gdyby istniała organizacya międzyuniwersytecka, lecz na nieszczęście nie ma jej dla docentów. Każda wszechnica jest przecież „civitas,“ a więc państwem w państwie.

or.

TOMASZ HENRYK HUXLEY.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Na południowych brzegach Anglii, niedaleko od Eastbourne, sławnego miejsca kąpielowego, od kilku miesięcy walczył ze śmiercią człowiek, który zarówno w nauce, jak i w życiu społecznem swego kraju zajął pierwszorzędne miejsce. Już w marcu r. b. T. H. Huxley nie mógł zebrać sił, aby odpędzić od siebie fatalnych duchów influenzy, które sprzysięgły się niejako przeciw jednemu z bojowników myśli współczesnej. Zapalenie płuc i nerek zajęły miejsce influenzy. Z pogodnym umysłem i z rzadką odwagą walczył przeciw złemu, zachowując ten spokój człowieka, który widzi naokoło siebie tylko harmonijną grę praw przyrody, działających z całą siłą i logiką, ale zarazem odzwierciedlających się całą jasnością w umyśle ludzkości dążącej do poznania prawdy. Z końcem maja cierpienia zmalały, choroba zdawała się być pokonaną. Niestety, serce było już zaatakowane i po nowej walce Huxley złożył broń. Wielki umysł przestał oświecać inne; wielkie serce obywatela i bojownika przestało bić.

Urodził się 4 maja 1825 r. w Ealig, dawniej mieścinie hrabstwa Middlesex, dziś już przedmieściu Londynu. Ojciec późniejszego obrońcy teoryi rozwojowej był nauczycielem w prywatnej ale poważanej szkole. Tam Huxley odbył swe nauki, jednocześnie pracując sam i zaznajamiając się z literaturą naukową krajów ościennych, a w szczególności z niemiecką. Mając zaledwie 17 lat, rozpoczął on mozolne studya lekarskie i stał się ulubieńcem Whartona Jones'a, który wykładał fizyologię. Trzy lata pracy zostały wynagrodzone świetnem świadectwem z ukończenia nauk.

Młody Huxley był więc już lekarzem w 1845 r. Zatopiony w badaniach naukowych, odrazu zapowiadał przyszłego apostoła z ulicy Jermyn, gdyż osiadł w jednej z najbiedniejszych dzielnic Londynu, aby przynosić pomoc cierpiącym klasom swego narodu. Żądza wiedzy zapanowała wszakże nad uczuciem solidarności społecznej. W r. 1847 Huxley poznał się z John Richardsonem, który marzył wtedy o podróży polarnej. Pod wpływem przyjaciela młody lekarz przyjął urząd doktora wojskowego i wraz z załogą okrętu „Rattlesnake" udał się na trzyletnią wędrówkę, podczas której wykończył swe pierwsze samodzielne badania naukowe, jednocześnie zdobywając pierwsze liście z wieńca nieśmiertelności, który ukoronował później półwiekową pracę niezmordowanego uczonego.

Po powrocie do kraju Huxley wystąpił z pierwszem dziełem „O anatomii i cechach pokrewnych rodziny meduz," do którego zaraz przybyły nowe towarzyszki myśli i badań. Rząd postanowił bowiem wydać swoim kosztem wszystkie studya, które naukowa załoga okrętu „Rattlesnake" zrobiła w przeciągu trzyletniej podróży. W ten sposób ukazało się pięćdziesiąt tomów różnych prac, a w ich liczbie Huxley'a tak dalece zwróciły na siebie uwagę uczonych, że ich autor w r. 1852 został członkiem „Royal Society," a w 1854 profesorem historyi naturalnej w szkole górniczej.

Od tej chwili zaczyna się pochód zdobywczy Huxley'a. Uniwersytety ubiegają się o to, aby w swych murach mieć młodego uczonego. Medale naukowe, nagrody i honory spływają nań. I właśnie wtedy odzywa się w nim potężna strona uczuć obywatelskich oraz gorączka szermierza.

Przedewszystkiem były to czasy wiekopomne dla nauki, w których ukazały się pierwsze głośne prace Darwina. Zawrzała walka, a gdy się rozległ szczęk oręża, Huxley był jednym z tych, który rzucił się z całym zapałem w obronie autora „O pochodzeniu człowieka." Turniej polemiczny między Huxley'em a biskupem Wilberforce wywarł wtedy olbrzymi wpływ i był jedną z tych stanowczych bitew. Huxley przypominał zawsze te czasy. „Dzieło Darwina — mówił on — było dzieckiem naszem, a ja robiłem, co mogłem, aby choć pod-nianką być przy niem."

Jednocześnie rozpoczęła się wtedy walka o oświatę, o reformę szkolnictwa krajowego. I w tej sprawie Huxley stanął w przedniej straży. W pięknych salach swej szkoły przy Jermyn-street rozpoczął wykłady „o stosunku człowieka do zwierząt niższych," które wygłaszał już nie studentom, ale klasom pracującym. Był więc jednym z inicyatorów tego olbrzymiego ruchu oświaty ludowej, który znalazł później swój wyraz zorganizowany i dokładny w „osadach uniwersyteckich" i w „rozszerzeniu wykształcenia uniwersyteckiego" (university extension). Nie dosyć na tem. Profesor akademii medycznej, prezydent towarzystwa geologicznego i biologicznego, znalazł dosyć czasu i sił, aby rzucić się do zapalczywej agitacyi szkolnej. Wybrany w r. 1870 do londyńskiej rady szkolnej, Huxley został najbardziej wytrwałym, gorącym i natarczywym szermierzem zasady tolerancyjnej. W radzie szkolnej londyńskiej przeprowadził on tak zwany „kompromis," który otworzył gmachy szkolne dla ludzi wszystkich wyznań, odebrał nauce religijnej czynnik zatargu i nietolerancyi. „Kompromis" z owego czasu jest do dziś dnia obowiązującym i zarazem początkiem oddzielenia szkoły od władz kościelnych.

Moglibyśmy całą stronicę zapełnić nazwiskami miast w Anglii i Europie całej, które spieszyły ze słowami uznania dla obrońcy zasady ewolucyjnej i z prośbą o żywe słowo oświecenia. Jednocześnie Huxley brał udział w olbrzymich pracach państwa, za obrębem swej niezmordowanej działalności w stowarzyszeniach naukowych. Był niemal we wszystkich wielkich komisyach, które rząd lub ciała prawodawcze ustanawiały i gdzie trzeba było pracy naukowej i energii krzewiciela oświaty; w komisyach badających choroby zaraźliwe, sprawę wiwisekcyi, organizacyę uniwersytetów w Szkocyi itd., a nawet w kwestyi rybołówstwa krajowego, w r. 1881 przyjął bowiem obowiązki inspektora nad połowem łososi.

W r. 1885 z powodu nadwerężonego zdrowia zmuszony był złożyć wszystkie swe obowiązki i urzędy, nawet godność prezydenta „Royal Society." Huxley bowiem oddawał się zajęciom, które przyjmował, z całym zapałem; gdy brak zdrowia pozbawiał go możności sumiennego spełniania ich, usunął się od świata, szukając w swej willi, „Hodestea" w Eastbourne, spokoju i możności poprawienia swych sił steranych.

W r. 1890 rzucił się znowu do walki jako szermierz. Zaniepokojony powodzeniem „Armii zbawienia," uchwycił za pióro, aby zdemaskować szalbierskich mistyków i błaznów, „chowających się pod przesądami." W tej polemice, zresztą bardzo korzystnej, przeoczył warunki społeczne, przy których generałowie z „Armii zbawienia" mogą gromadzić liczne zastępy naiwnych zwolenników.

O znaczeniu Huxley'a jako badacza najlepiej, być może, wyraził się Haeckel, który w swoim czasie uznał w nim mistrza w zoologii i w anatomii porównawczej. Jako krzewiciel oświaty i popularyzator, Huxley do dziś dnia jest niezrównanym w swym kraju. Temu bojownikowi za swobodną myśl należy się wieczny pomnik w kraju, w którym nikt tyle, co on, nie zrobił dla wyzwolenia i zreformowania szkoły.

Miłość prawdy i poznania górowała w nim zawsze. Gdziekolwiek wszakże Huxley występował — był zawsze na drodze postępu.

W r. 1894 rozpoczęto wydanie przystępnych prac jego, których ukazało się już dziesięć tomów. Pomimo swego popularnego a często okolicznościowego charakteru, wydawnictwo to pozostanie wiekopomnem świadectwem zasług Huxley'a i zarazem źródłem dla poznania rozwoju społecznego Anglii w drugiej połowie naszego wieku.

W. Nadolski.

PAMIĘTNIK.

Z tygodnia.

Jak zwykle o tej porze przenosimy się i niby kanie wyglądamy kropli dżdżu, który nas stale omija. Jeden z dzienników zauważył, że tego roku zmiana lokalów jest mniejsza, notując jako fakt godny publicznej uwagi, że pewien krawiec (*nb* za często w kilku pismach wspominany) opuścił swoją dotychczasową siedzibę i zajął inną. Ponieważ twierdzenie tego dziennika nie opiera się na żadnych dowodach, tylko na obserwacyi, otóż wyznajemy, że nas ona wcale do takiego wniosku nie doprowadziła. Przeciwnie, widzimy ten sam obraz ludzi, koni i wozów, uwijających się po Warszawie od tygodnia z przenoszonemi, przewożonemi i potłuczonemi rzeczami. Rzeczywiście jest to poniekąd właściwością Warszawy, gdyż za granicą terminy przeprowadzek mijają prawie niepostrzeżenie. Ale tam domy w miastach już dawno wyrównały się pod względem wygód, podczas gdy u nas stoją obok siebie takie, w których już zaprowadzono najdoskonalsze urządzenia i takie, w których brak najelementarniejszych. Więc ludzie ciągle szukają czegoś lepszego, chociażby nieco droższego.

Nadmierna susza dała się uczuć i Warszawie, w której zbrakło wody tak dalece, że przerwano, a obecnie ograniczono polewanie ulic. Nie miały jej nawet mieszkania wyższych pięter. Przez pomnożenie pomp wodociągowych niedostatek ten będzie usuniętym, gdyż Wisła nie wyschnie, ale gdy my tu potrzebujemy tylko wydać powną ilość rubli dla zaopatrywania się w wodę poddostatkiem, cały kraj ponosi nieobliczone straty na suszy. Doprawdy dziwnie brzmią wiadomości o ulewach i wylewach za granicą, podczas gdy nasze pola i łąki żyją od paru miesięcy jedynie skąpą rosą, spieczone, przedwcześnie pożółkłe lub całkiem ogołocone z roślinności. Podobno widok okolic z gruntami piaszczystymi lub tęgiemi glinami jest bardzo smutny.

Zapis.

Znowu sowity legat dobroczynny, a może znowu będzie proces o unieważnienie go. Świeżo zmarły właściciel ziemski, Klemens Paprocki, zapisał dobra swoje, Potycz z Maryninem (w powiecie grójeckim), obejmujące blizko 50 włók żyznej gleby, warszawskiemu Towarzystwu ogrodniczemu. Darowiznę tę — obok pożyczki Towarzystwa kredyt. ziemsk. 25,000 rs. — obciążył tylko dożywociem żony, coroczną opłatą na rzecz Czerwonego Krzyża rs. 100, wydatkiem na grób 3,000 rs. i innemi drobnemi zastrzeżeniami. Uznając w całości dobrą wolę i szlachetną myśl nieboszczyka, jednocześnie zauważyć musimy, że w jego rozporządzeniu znać wielką niepraktyczność, czy też nieumiejętność w spełnieniu zamiarów, która może zrodzić wiele kłopotów dla obdarowanej instytucyi. Przedewszystkiem niekontrolo-

wana żadnym nadzorem gospodarka nie spoczywa na silnej materyalnej rękojmi, że majątek po upływie dożywocia zachowa swą obecną wartość. Nie myślimy podejrzywać dążeń p. Paprockiej, ale jako kobieta może ona nie mieć wprawy, wiedzy i doświadczenia w zarządzie dużemi dobrami, a testament nie przydaje jej żadnej opieki. Dalej idą zastrzeżenia mniejszej wagi, ale także kłopotliwe. Tak np. Towarzystwo zostało zobowiązanem, ażeby „*każdego roku* był w zakładzie ogrodniczym *jeden* z *Paprockich herbu Jastrzębiec*, kształcony i utrzymywany kosztem tegoż Towarzystwa przez *cały przeciąg lat*." Cóż obdarowani poczną, jeżeli któregokolwiek roku nie znajdą Paprockiego herbu Jastrzębiec lub jeżeli ten Paprocki herbu Jastrzębiec nie zechce być ogrodnikiem? Przypuściwszy wreszcie, że będą mieli kandydata: w jakim „zakładzie ogrodniczym" i przez jaki „przeciąg lat" mają go kształcić? Pomijamy inne właściwości testamentu, dotyczące jego formalnej strony, poprzestając na wielokrotnie już przez nas zaznaczanej uwadze, że schodzący z tego świata ludzie szlachetnych pragnień, którzy chcą obdarzyć społeczeństwo osobistym majątkiem, powinni zawsze swą ostatnią wolę ubezpieczyć radą doświadczonego prawnika, gdyż inaczej utrudniają swoim pełnomocnikom jej wykonanie, a często narażają ją na zupełne unieważnienie. Niestety, trzeba się pogodzić z tą koniecznością, że nie wszystko jest niewzruszonem, co ręka konającego napisze.

Ale jeżeli kiedyś Towarzystwo ogrodnicze z darowanym mu majątkiem szczęśliwie wypłynie, zyska ogromny warsztat do pracy doświadczalnej, która jest pierwszem jego zadaniem, dotychczas niespełnionem nawet w najmniejszej części. Mamy nadzieję, że ono odpowiednio się do niej przygotuje i że wynajdzie ludzi, którzyby ją poprowadzić mogli i umieli. Wtedy skończy się epoka pogadanek, projektów, doniesień z zagranicy, pustych słów i błyskań cudzemi lusterkami, a zacznie się robota na gruncie miejscowym i z założeniami miejscowemi.

Sprawozdanie Kasy Mianowskiego.

Prawie każdoroczne sprawozdanie Kasy Mianowskiego przynosi nam szereg niespodzianek. Są one zawsze jednego rodzaju: mianowicie pewni ludzie, których nie posądzaliśmy ani o niezamożność, ani o „pracę na polu naukowem," dostają zapomogi, a tem samem przekonywają nas, że są ubodzy i że się poświęcają badaniom naukowym. Wobec tego, stale powtarzającego się faktu, przypuszczać należy, iż albo zarząd Kasy jest bardzo wyrozumiałym, albo też nie stara się zebrać ścisłych informacyi o zanoszących do niego prośby. Naturalnie ci łaskawie wybrani stanowią tylko pewien procent ogółu obdarowanych, między którymi są istotnie zasługujący na pomoc, ale wolelibyśmy—na nich nie płacić składek.

Według ostatniego bilansu kapitały Kasy przekroczyły już 200,000 rs. Jest to zasób bardzo poważny i gdyby tylko znaleźli się ludzie, którzyby z funduszu obrotowego umieli skorzystać z pożytkiem dla nauki i społeczeństwa, corocznie z tego źródła przybywałoby nam wiele dobra. Pieniądze już mamy, tylko ludzi, ludzi, ludzi rzeczywiście „pracujących na polu naukowem!"

Hygiena wiejska.

Zasługą jest redakcyi *Zdrowia*, że postanowiła systematycznie zbierać dane o stanie hygienicznym prowincyi. Dotychczas materyał ten dość jeszcze ubogi, ale w pewnej mierze charakteryzuje warunki istotne. Niedawno właśnie pismo to skończyło druk pracy lekarza powiatowego, p. A. Podolskiego, obejmującej powiat węgrowski pod względem zdrowotnym. Co do statystyki, wszędzie są luki; ale za to tu i owdzie zasługuje na uwagę ogólna charakterystyka, jako owoc osobistych spostrzeżeń autora. Z luźnych napomknień jego widzimy, że rozwojowi wszelkich zarządzeń sanitarnych stoi na przeszkodzie odporność mieszkańców prowincyi, wrogo usposobionych dla najelementarniejszych zasad hygieny. Dość ciężko idzie np. ze szczepieniem ospy; pomimo że matki narzekały na dawną metodę, nie chciały jednak łatwo zgodzić się na nową. Dr. P. w swoim powiecie znalazł dużo dzieci *dwunastoletnich* i starszych, których organizmu wcale nie zabezpieczono przed tą chorobą. Chcąc złemu zaradzić, lekarz wyjednał współdziałanie władzy, która poleciła wójtom uczynić przegląd dzieci od sześciu tygodni do dwunastu lat życia i wykaz wszystkich, które dotąd nie miały szczepionej ospy ochronnej. Dzięki temu, w r. 1894 zaszczepiono ją 3,496 dzieciom, gdy w latach poprzednich nie można było połowy cyfry owej dosięgnąć. Nie poprzestając na tem, inicyator stanowczego środka zamierzył w roku bieżącym zrobić taki przegląd ludności od najmłodszych aż do 20 roku życia. Nie łatwo to jednak przyjdzie: „trzeba zwalczać rozmaite przesądy, prosić, przekonywać, a czasem i grozić." Ten jeden fakt, wyświetlający na pozór mały szczegółik warunków zdrowotnych na prowincyi, jest w gruncie rzeczy wielce pożytecznym, gdyż służyć może dla innych lekarzy jako wskazówka. Wzajemne ujawnianie wszelkich środków tego rodzaju z czasem wytknie wiele dróg dla skutecznego uzdrowotnienia prowincyi. Dotychczas bardzo mało zrobiono w tej mierze. Dr. P., mający ze wsią do czynienia od lat dziesięciu, na stanowisku lekarza powiatowego, utrzymuje, że ogólnie hygiena nie posunęła się ani na krok w tym okresie. „Do przyczyn, bardzo źle oddziaływających na zdrowotność ludu wogóle, należy wielka liczba felczerów po wsiach i osadach. Trzeba się ocierać o lud wiejski — pisze dr. P. — mieć z nim ciągle do czynienia, żeby się przekonać, ile felczerzy złego robią nie tylo środkami lekarskimi, silnie działającymi, ile przeciąganiem choroby, leczeniem na własną rękę, łudzeniem chorego. W ten sposób doprowadzają go do opłakanego stanu i dopiero wtedy odsyłają do lekarza, od którego ludzie chcą, żeby cuda czynił. Tracą zaufanie i wiarę w pomoc, gdy po użyciu jednego łyku lekarstwa zdrowie choremu nie powróciło." Jak temu zaradzić—pisaliśmy przed paru laty dosyć dużo. Dr. Podolski widzi tylko drogę sądową—mało skuteczną. W ciągu swojej służby państwowej pięciu felczerów zaskarżył, „czem zasłużył sobie na nienawiść leczących szarlatanów, ale za to i uczucie strachu nie jest mu obce." Nie chcemy powtarzać dawnych swoich uwag; to tylko zaznaczymy, że stłumienie plagi felczerskiej w znacznym stopniu powinno zależeć od samych lekarzy, którzy, niestety, w rzadkich wypadkach potrafią żyć się z prowincyą, poznać do gruntu wszystkie warstwy społeczne i zaskarbić ich bezwzględne zaufanie. *—m.—*

Towarzystwo gimnastyczne.

Przed laty siedmiu garstka miłośników ćwiczeń fizycznych werbowała ochotników do zawiązania Towarzystwa gimnastycznego w Warszawie. Sprowadzono i przestudyowano wzory innych tego rodzaju związków, nawet podobno obmyślano ustawę w ogólnych zarysach. Należało tylko przesłać ją władzy odpowiedniej do zatwierdzenia. Słowem — jak mówią reporterzy — „krzątano się energicznie" około tej sprawy. Ale inicyatorowie nie wiadomo gdzie się podzieli. Prawdopodobnie z biegiem czasu przybyło im tłuszczu, który jest dobry do smarowania kół w celu wydobycia większej z nich szybkości, ale zabójczy dla wszelkiej energii ludzkiej. Obecnie odgrzebano z zapomnienia dawny projekt, zwolennicy gimnastyki „wraz z lekarzami i prawnikami na czele," jak donoszą pisma, opracowali projekt ustawy i uzupełnili ją paragrafami przepisów takiej instytucyi, istniejącej w Petersburgu. Według zapewnienia ludzi, obeznanych z przebiegiem tej sprawy, przyjdzie ona na pewno do skutku. Należy tylko starać się o to, żeby członków nie zabrakło, jako podstawy istnienia związku. Wnosząc z rozwoju u nas wogóle ducha sportowego, można liczyć, że ochotnicy nie zawiodą oczekiwania. Niech tylko jak najmniej będzie honorowych, a jak najwięcej czynnych. Mamy bowiem bardzo wielu wioślarzy, którzy nie umieją z wiosłem się obchodzić i pływać, ale natomiast bardzo chętnie uprawiają życie klubowe, uczestniczą w zabawach, grach, wycieczkach, ucztach. Niechże nowe Towarzystwo, póki czas, postawi na ostatnim planie te przynęty, zbyt kosztowne i zniechęcające ludzi obarczonych pracą, a zajmie się na seryo ratowaniem mięśni zanikających, wprowadzeniem równowagi do organizmów, trawionych niezdrowem pokrzepianiem i trybem zbyt jednostronnym w pracy nieustannej. —z—

Mieszkania letnie.

W roku bieżącym daje się spostrzegać fakt bardzo pożądany dla mieszkańców miasta, spragnionych spokoju i świeżego powietrza, a smutny dla przedsiębiorców. Korzystając ze wzrastającego bezustannie popytu na letnie siedziby, zaczęli oni w ostatnich latach podnosić niesłychanie ceny i coraz mniej troszczyć się o najniezbędniejsze potrzeby mieszkańców sezonowych, bo nie ten, to inny wynajmie i bez względu na termin zajęcia lokalu, za cały sezon zapłaci. Naraz stała się rzecz nieprzewidziana: w roku bieżącym gorączka spędzania lata w okolicach podmiejskich osłabła znacznie, a we wszystkich ulubionych i uczęszczanych ustroniach dotąd wiszą napisy, obwieszczające mieszkania do wynajęcia. Właściciele domów, na prędce skleconych z desek, lub stodół i chlewów przerobionych, poznižali ceny zbyt wygórowane. „Stagnacya" taka związana jest z jakiemś fatum, prześladującem ziemian, bo właśnie powodzenie tego przedsiębiorstwa zaczyna słabnąć w chwili, gdy oni przekonawszy się, że rola nie daje żadnych zysków, zaczęli zmieniać system gospodarki, tj. budować domki z ogródkami. Tymczasem znaczna ich liczba stoi pustką. Prawdopodobnie i w tym wypadku główną rolę gra brak zmysłu kupieckiego wraz z chęcią wielkiego zysku. Może jednych zraziły wysokie ceny, innych trudność znalezienia odpowiednich wskazówek w ogłoszeniach. Nie każdy bowiem ma czas i ochotę odbywać na ślep wędrówki po różnych siedzibach. Niemały przewrót w dotychczasowych stosunkach zrobiły przepisy, krępujące pobyt żydów na wsi. To też gdzie im wolno mieszkać (po za obrębem gruntów włościańskich), tam ceny lokalów doszły do bajecznej wysokości, a przeludnienie wywołało ogólną drożyznę i niewygody, niweczące wszelki pożytek z wypoczynku letniego. Pozostała tylko moda, panująca wszechwładnie.

Towarzystwo opieki nad zwierzętami

Instytucyą tą mało u nas kto się interesuje, są nawet niechętni, uprzedzeni, wychodzący z tej zasady, że ludzie więcej, niż zwierzęta, potrzebują pomocy, że zatem środki i czułość serc, wyzyskiwane dla czworonożnych, przynoszą krzywdę społeczeństwu. Ci, którzy tak sądzą, traktują rzecz powierzchownie. Nie znając bowiem programu Towarzystwa, przypuszczają, że ono tylko myśli o przytułkach dla chorych i starych piesków. W gruncie rzeczy zadaniem jego są, a przynajmniej

powinny być, cele wyższe: przez opiekę nad zwierzętami tępienie instynktów dzikości śród ludzi. To też na pochwałę i poparcie zasługuje wniosek komitetu damskiego — zawiązywania towarzystw dziecięcych w tym zakresie. Poważni kierownicy owej latorośli, z której mają powstać wielkie konary społeczeństwa, mieli zapewne nieraz sposobność badać jaskrawo występującą u malców skłonność do katowania wszelkich stworzeń. Lekkomyślni lub niedbali rodzice nie przypuszczają, jaką krzywdę przynosi ich potomstwu i społeczeństwu nieposkramianie owych instynktów. Otóż projektowane u nas stowarzyszenia istnieją oddawna za granicą, szczególnie we Francyi i śmiało można je nazwać instytucyami pedagogicznemi, bo środkami działającymi łagodnie na wrażliwość i serce dziatwy, tępią wszelkie zarodki dzikości i przysposabiają do łatwego przyjmowania wszelkich pierwiastków szlachetnych, które przytłumiając egoizm, dają podkład do rozwoju poczucia obywatelskiego w młodocianych charakterach. Taka tkwi idea (może nie dostatecznie i nie zawsze uświadamiana) w zakresie zadań owych instytucyj, opiekujących się zwierzętami. Nasza dotąd nie przełamała obojętności i uprzedzenia ogółu może dlatego, że ta właśnie część programu nie ujawniła się w praktyce i dopiero dziś znalazła orędowniczki. Taką drogą Towarzystwo nasze zjedna sobie z czasem większą liczbę członków, a więc i z niedoborów wybrnie, które prześladują je bezustannie i hamują wszelki rozwój. Oddział warszawski, pomimo niepomyślnych warunków, doczekał się jednak w roku bieżącym dwudziestopięciolecia swego istnienia. Niechże w następnem ćwierćwieczu pójdzie szerszą i gładszą drogą.

—*p.*—

Przytułki rzemieślnicze.

Sprawa schronienia dla starych i zniedołężniałych rzemieślników od paru lat nie może wybrnąć z zaklętego koła projektów. Po długiem błąkaniu się na różnych posiedzeniach, raz już o mało nie znalazła drogi do czynu, ale wtedy właśnie stanęła niespodziana przeszkoda w postaci „domu własnego“ i to koniecznie w Warszawie. Skutkiem tego odrzucono ofiarę magistratu: grunt na Pradze. Nadzieja więc powstania tak niezbędnego przytułku znikła na długo, ale pozostał „wydział“ przy Towarzystwie dobroczynności. Dopiero teraz wpadł on, a raczej jego dyrektor, p. A. Makowiecki, na myśl, którą dawniej mu podsuwaliśmy. Oto rajcowie na wniosek swego przewodniczącego postanowili urządzić przytułek tymczasowy na kilkanaście osób w lokalu wynajętym. Funduszów jednak dotąd zebranych nie wolno tknąć, gdyż z góry je przeznaczono na wzniesienie właściwego gmachu. Z tego powodu można użyć tylko procenty, których atoli nie wystarczy nawet na stworzenie tymczasowej instytucyi. Postanowiono więc wszelkiemi siłami zbierać odpowiednie środki, a między innemi całkiem słusznie zakołatano do wystawy wyrobów metalowych o przeznaczenie dochodu z jednego dnia wyłącznie na cel powyższy. Sprawa ta powinna leżeć najbliżej serca wystawców.

Telefony na wsi.

Ten wyborny środek szybkiej komunikacyi, przystępny dotychczas tylko dla różnych instytucyj i ludzi zamożnych, zaczyna coraz bardziej wychodzić po za obręb miast. W obecnych czasach wprowadzają u siebie to udogodnienie zasobne gospodarstwa rolne. Pierwszy p. Leopold Kronenberg połączył dobra swoje, Brzezie, z Włocławkiem; teraz zaś, jak donosi *Gazeta polska*, urządzono pierwszą w kraju tego rodzaju komunikacyę na wielką skalę w „kluczu włodawskim“ (własność hr. Augusta Zamoyskiego). Linia wynosi 48 wiorst i posiada stacyę centralną, a cała sieć łączy liczne folwarki. Jest to jeden z objawów postępu techniki na polu rolnictwa. Nie da on wszakże tych rezultatów w całej rozciągłości, jakie bywają przy ulepszeniach we wszystkich machineryach pracy, tj. nie zmniejszy liczby oficyalistów i robotników, lecz, być może, ograniczy różnorodność ich zajęć. Warsztat rolny odznacza się bowiem tą charakterystyczną cechą, że służba, szczególnie niższa, pełni najrozmaitsze czynności; parobek więc bywa zarazem i posłańcem, rozprasza swe siły na wszystkie strony, nie zawsze owocnie. Z wyjątkiem zatem tych nielicznych dóbr, gdzie bywa większa specyalizacya, służba folwarczna zapewne nie będzie zmniejszona, natomiast praca jej stanie się bardziej jednolitą. Znikną uciążliwe dla oficyalisty raporty piśmienne, pochłaniające dużo czasu. Natomiast parę razy dziennie zarząd dóbr będzie posiadał szczegółowo wiadomości o stanie i rozkładzie robót, potrafi w każdej chwili przedstawić sobie obraz całej machineryi gospodarstwa, w ruch puszczonej, a więc łatwiej będzie mógł wprowadzić większą sprawność, sprężystość, unikać kosztownych omyłek, wynikających z mimowolnego chaosu. Nie trudno z takiego systemu ocenić pożytek dla gospodarstwa, w którem telefony staną się nie kosztowną zabawką, lecz znaczną oszczędnością, nie pociągającą za sobą zmniejszenia liczby oficyalistów. Przeciwnie — parę posad przybędzie w zakresie czuwania nad środkami komunikacyi. Oczywiście, takie udogodnienie może być korzystne tylko w dobrach wielkich lub spółkowych przedsiębiorstwach rolnych. —*ir.*

W DALI.

Łódź. Miejscowy oddział Czerwonego Krzyża postanowił założyć szpital powszechny dla robotników fabrycznych. Fabrykanci, miasto, obywatele, tudzież wszelkie instytucye, pragnący umieszczać chorych w tym zakładzie, powinni wnieść jednorazowo po 1,500 rs. za jedno łóżko, następnie każdy płacić będzie za chorego, którego sam umieści, po 75 kop. dziennie za całkowite utrzymanie i pomoc lekarską. Właścicielem szpitala wraz z całem urządzeniem będzie komitet powyższy, który obowiązuje się w czasie pokoju oddawać zakład wyłącznie na potrzeby ludności miejscowej. Może on z czasem przejść pod zarząd ofiarodawców i abonentów łóżek. Kontrola nad gospodarką należeć ma do zarządu, składającego się z prezesa, wiceprezesa i członków komitetu Towarzystwa Czerwonego Krzyża, z pięciu osób, wybranych przez ofiarodawców i abonentów, z inspektora gubernialnego, ze starszego inspektora fabrycznego, prezydenta miasta, kuratora szpitala i lekarzy ordynujących. Dla obrony własnych interesów abonenci łóżek i ofiarodawcy wybierają komitet nadzorczy na dwa lata. Ma on prawo w każdej chwili odbywać rewizyę wszystkich oddziałów i urządzeń.— Zakończył życie dyrektor telefonów łódzkich, Ignacy Marchwiński.

Mińsk. W ostatnich latach śród ziemian, mieszkających w pobliżu miast, daje się spostrzegać pewien zwrot praktyczny, zrozumienie potrzeb ludności, których zaspokojenie obustronną korzyść przynieść może. Wzięli się oni mianowicie do uprawy ogrodów warzywnych, które w Mińsku były zmonopolizowane przez ludność tatarską tak dalece, że w roku 1893 przeszło 1,000 przedsiębiorców owej narodowości trzymało w swych rękach warzywnictwo. Teraz—jak pisze *Wiek* — stan rzeczy zaczyna się nieco zmieniać. Nietylko bliżsi ziemianie, lecz i ludność włościańska zajmuje się więcej ogrodami, co stały i pewny dochód przynosi. Niemniej też baczniejszą uwagą zaczęto obdarzać ogrody owocowe. Te ostatnie bowiem, wyjątkowo tylko, były w dobrym stanie, pomimo iż popyt na owoce w ostatnim dziesiątku lat wzrósł znacznie. Zawiązane w Mińsku Towarzystwo ogrodnicze pod przewodnictwem p. Samojty, przyrodnika i zarazem dyrektora szkoły realnej, ma głównie na celu popieranie rozwoju sadów i ogrodów miejscowych.

Wilno. Wykryto „szkołę złodziejską,“ której przełożoną i nauczycielką była niejaka Rabinówna, niegdyś gwiazda półświatka na bruku petersburskim. Program zakładu posiadał „wydziały“: jedni kształcili się na złodziejów kolejowych, drudzy byli od targów i ulic, a inni od mieszkań. Do szkoły uczęszczali głównie synowie członków szajki tudzież werbowane dzieci rodziców ubogich. Do szajki podobno należeli ludzie bardzo zamożni, śród których rej wodził jakiś lichwiarz. Wciągano także służące, młode dziewczęta, za pomocą udawania miłości i obiecywania ożenku. Wiele z tych ofiar sprzedano następnie do domów rozpusty w wielkich miastach.

Żytomierz. Wołyńskie plantacye chmielu w roku bieżącym uniknęły „chrząszcza majowego,“ ale za to pojawiła się również groźna pchła chmielowa, która objada młode pędy, skutkiem czego roślina długo choruje lub usycha zupełnie. Dotąd jedynym środkiem ratunkowym jest odwar tytoniowy. Skuteczniejszym atoli bywa deszcz ulewny, którego jednak nie można mieć na zawołanie. Ludzie doświadczeni zalecają obcinanie korzeni na jesieni zamiast na wiosnę co ułatwia wcześniejszy wzrost (od połowy kwietnia), tj. w porze chłodniejszej, kiedy jeszcze nie ma pasorzytów szkodliwych dla roślin bardzo młodych. Ceny na chmiel smutnie się zapowiadają, skutkiem czego w roku bieżącym nikt plantacyi nie powiększa, pomimo obfitości sadzonek.

Kijów. Z powodu zbliżającego się terminu skupu gruntów czynszowych, sprawa ta zajmuje obecnie powszechną uwagę. Władze odpowiednie są różnego zdania; tak np. komisya do spraw włościańskich w Kamieńcu Podolskim uważała wydzielanie ziemi za zbyteczne i połączone z wielu trudnościami. Zdaniem innych rzeczoznawców, trudności nie są tak wielkie; chodzi tu o ostateczne oddzielenie tudzież zmianę tymczasowych znaków granicznych na stałe. Pod względem prawnym przy wprowadzaniu w posiadanie po skupie nie jest wymagany ani list wykonawczy, ani czynienie ogłoszeń o przejściu praw. Sędzia pokoju sporządza tylko akt wprowadzający. Bądź co bądź trzeba przyznać, że cała ta sprawa nie pójdzie zbyt lekko. — W powiecie skwirskim — jak głoszą korespondenci — szerzy się klęska gąsienicy; niszczy ona sady owocowe, których nie mogą ochronić wszelkie wysiłki ogrodników i gospodarzy. Całe lasy dębowe, dość obfite w tej okolicy, stoją bezlistne. Klęska gąsienicy datuje od r. 1891 i od tego czasu co lato się ponawia. — W tymże powiecie plantacye buraczane przedstawiają się doskonale. Robotników na plantacyach brak, skutkiem czego ceny podniosły się z kop. 15 — 20 dziennie do kop. 40 — 45. Zbiór pszenicy w tym powiecie będzie wcale niezły, jak również owsa i jęczmienia; trawy pastewne są także niezłe, tylko żyto da zbiór bardzo skąpy.

Petersburg. Urzędowy organ ministeryum sprawiedliwości przytacza, jako przykład powolności procedury w ogólnych instytucyach sądowych, fakt następujący: W marcu r. 1895 ogłoszono wyrok izby sądowej odeskiej w sprawie rozbicia się szalupy „Worobiej,“ należącej do „ruskiego Towarzystwa żeglugi i handlu“; wypadek ten spowodował śmierć pięciu ludzi z załogi i zatonięcie transportu rządowego wartości rs. 250,000. Szalupa „Worobiej,“ płynąc z Sewastopola do Poti, rozbiła się w d. 30 październik 1878 r. Wtedy więc wynikła sprawa sądowa, do której ukończenia trzeba było lat przeszło szesnastu. Dwa lata trwało dochodzenie wstępne, siedem tkwiła w instytucyach administracyjnych, dwa rozstrzygano ją w sądzie okręgowym i w izbie sądowej, trzy lata leżała w senacie i wreszcie rok jeden znowu w izbie sądowej. — Według zapewnień *Nowosti*, w dziedzinie aptekarskiej zajdą wielkie zmiany. Między innemi podwyższony będzie census umysłowy uczniów, wymagane świadectwo ukończenia 6-ciu klas. W Warszawie i Odesie norma 10,000

mieszkańców na spłekę, po wyższona będzie do 20,000.

SPRAWY EKONOMICZNE

PARCELACYA.

I.

U nas nie ma dziś korespondenta z najzapadlejszego kątka prowincyi, któryby nie zabierał głosu w sprawach własności ziemskiej nie wydawał sądu ogólnego o jej położeniu i warunkach. Na ten temat można bardzo dużo mówić; z gospodarki majątku kilkunastowłókowego sądzić o stanie całego kraju, z życia parobków na jednym folwarku o ich bycie powszechnym itd. Stąd częstokroć wynikają najdziwaczniejsze pojęcia, ze zlepków tych powstają gmachy uogólnień zanadto czarne, albo zbyt różowe, a jedne i drugie mylne, nie dające pojęcia o istotnym stanie rzeczy. Ulotne notatki korespondencyjne, lub chociażby zebrane za pomocą dorywczej ankiety, zawsze są stronne, niedokładne, w zupełny błąd wprowadzające każdego, ktoby chciał im zaufać. A jednak na takich danych przez wiele lat budowano u nas „poważne prace" i „referaty," które jako bezpłodne, poszły w zapomnienie. Dopiero w ostatnich czasach spostrzegamy zwrot pomyślny w metodach i środkach badania warunków ekonomicznych rolnictwa. R. 1891 przy Towarzystwie kredytowem ziemskiem powstała sekcya statystyczna i ogłosiła już dwa zeszyty swych „Wiadomości," Wartość i obdłużenie dóbr stowarzyszonych, dotąd tylko w dwóch guberniach: warszawskiej i kaliskiej, przedstawia się tam w oświetleniu cyfr wiarogodnych. Jeszcze wcześniej p. Jan Bloch, dzięki wyjątkowym środkom i możności bezpośredniego docierania do źródeł, podał w obszernej swej pracy obraz zadłużenia własności ziemskiej. Cyfry sekcyi statystycznej dają poniekąd materyał uzupełniający i niejako potwierdzają wywody autora, chociaż w świetle łagodniejszem. Tak np. p. Bloch, przypuszczając, iż pożyczka Towarzystwa stanowi 40% szacunku, obliczył że odłużenie ogólne wynosi 80% wartości. W „Wiadomościach statystycznych" dla dwóch gubernij są mniejsze cyfry: 66½% w warszawskiej i 75½% w kaliskiej. Ale i ten złagodzony procent przedstawia nadmierny ciężar, przytłaczający własność ziemską. Materyał to wszakże jest jeszcze bardzo niedostateczny, zawiera bowiem tylko dobra stowarzyszone i pomija wszelkie inne długi.

Zanim poszukiwania rozwiną się w tym zakresie, warto baczną uwagę zwrócić na roczniki, obejmujące działalność Banku włościańskiego. Rzetelnie i uważnie rozejrzał się w nich p. Jan Bloch i w osobnej najświeższej pracy („Bank włościański a parcelacya," Warszawa, 1895) przedstawił wyniki tych obrotów, tudzież warunki działkowania gruntów. Ze względu, iż jest to jeden ze środków ratunku dla ziemian zagrożonych ruiną, tudzież—sposób wzmocnienia własności włościańskiej, warto przyjrzeć się bliżej temu zjawisku i wynikom dotychczasowego ruchu, na podstawie materyału, odpowiednio ugrupowanego przez autora. Przedewszystkiem zaznaczyć należy, iż nowa instytucya zaczęła działać w Królestwie Polskiem dopiero r. 1890. Z cyfr, których tutaj nie przytaczamy, widać, iż pojedynczy włościanie prawie wcale nie korzystali z kredytu bankowego. Z ogólnej liczby 367 tranzakcyi, 354 (97%) przypada na pożyczki, zaciągane zbiorowo, a tylko 13 (3%) na pojedyncze. Ponieważ spółki reprezentują 6,990 gospodarzy, pojedynczo zaś nabyło ziemię tylko 13-tu, więc widzimy, że z pomocy instytucyi kredytowej w spółkach korzystało 99,82%, pojedynczo 0,18. Taki sam stosunek zachodzi w ilości gruntów: Spółki nabyły 99,75% ogółu kupionej ziemi, jednostki 0,25%. Skąd wynika ów znamienny objaw łączności ludu w sprawach kredytu i kupna? — czy z własnego uświadomienia większej siły ekonomicznej? Tak nie jest; pochodzi to z musu: z przepisów samej instytucyi. Spółka zobowiązuje się do solidarnej odpowiedzialności, zatem dla Banku przedstawia większą rękojmię niż jednostka, przytem cała grupa pożyczkobierców znacznie upraszcza tranzakcyę. P. Bloch nie uważa jednak tego objawu za pomyślny. „Włościanin nasz — twierdzi autor — z obyczajów i upodobań jest wielkim indywidualistą, akcya zbiorowa pociąga za sobą zwykle nieporozumienia, wymaga ustępstw wzajemnych, przy których każdy uważa się za pokrzywdzonego. Do stowarzyszenia się zmusza go konieczność finansowa, potrzeba utworzenia siłami zbiorowemi odpowiedniego kapitału."

Trudno w ogólnej zasadzie zgodzić się z autorem. Indywidualizm chłopski nie świadczy o jego dzielności i zaradności. Jest to warstwa społeczna najbardziej bierna, nieruchoma ekonomicznie; działalność zaś rozproszona zawsze jej na złe wychodziła. Wszelkie nieporozumienia nie przemawiają za tem, ażeby pojedyncze, najdrobniejsze żądania były uwzględniane i przynosiły pożytek interesowanym. Pomimo więc wielu braków w zbiorowem załatwianiu spraw pożyczkowych, może ono być poniekąd szkołą, przysposobić lud do uskuteczniania innych przedsięwzięć ekonomicznych siłami wspólnemi. Należałoby więc myśleć nie o usunięciu obecnego systemu, lecz o jego udoskonaleniu. Co do udzielania pożyczek jednostkom, nie nazwałbym tego objawu pomyślnym we wszystkich wypadkach, gdyż ci, którzy nie oglądają się na innych, przeważnie są zamożni i obrotni wyzyskiwacze swych sąsiadów i towarzyszów. P. Bloch powołuje się jednak na inne stosunki w Cesarstwie, gdzie włościanin wskutek istnienia w wielu guberniach wspólnego władania, bardziej niż u nas jest usposobiony i uzdolniony do tworzenia takich spółek, a przecież dzieje się tam odwrotnie. Na ogólną liczbę 11,017 pożyczek, 2,279, czyli przeszło 20% zaciągnęły jednostki. W guberniach litewskich (grodzieńskiej, kowieńskiej, wileńskiej), gdzie warunki gospodarcze i społeczne, zdaniem autora, najbardziej do naszych są zbliżone, na ogólną sumę 1,169 pożyczek, w 671 wypadkach (57%) z kredytu korzystali włościanie pojedynczo.

Wbrew twierdzeniu p. B., takiego stanu rzeczy niepodobna jedak uważać za wzór do uregulowania stosunków w Królestwie Polskiem. Przewagę tranzakcyj, dokonanych przez jednostki, można wytłomaczyć wręcz odmiennymi warunkami, które nawet w gub: kowieńskiej, wileńskiej i grodzieńskiej nie są całkowicie zbliżone do naszych, o czem wymownie świadczy ogromna różnica w cenach gruntu. Gdy bowiem w całem Królestwie Polskiem mórg przeciętnie kosztuje 62 rs., w guberniach litewskich tylko 20,9, a we wszystkich innych guberniach Cesarstwa 21,8. Taka jest cena przeciętna; w pojedynczych wypadkach i kategoryach różnica bywa jeszcze większa, mianowicie w Królestwie mórg 65 rs., w guberniach litewskich 26, w innych gub. Cesarstwa 13. Przytem włościanie w Królestwie kupując, muszą przy pożyczkach bankowych więcej dopłacać, niż gdzieindziej, bo aż 18 rs. za mórg, gdy w guberniach litewskich tylko 6,7, w innych — 5,4. Cyfry te dotyczą spółek; pojedynczy nabywcy dopłacają znacznie więcej: w Królestwie 26, w gub. litewskich i całem Cesarstwie 12 rs. Jeszcze zachodzi pewna znaczna różnica. Skutkiem tańszej ziemi i w znacznej większości gorszych gatunków gleby, włościanie nabywają w Cesarstwie większe działki, niż w Królestwie. Tak np. na spółki w całym kraju tutejszym przypada na jedną pożyczkę 177 morgów, na jednego gospodarza 9; w guberniach litewskich na spółki 200, na jednego gospodarza 20,5; w całem Cesarstwie na spółkę 380, na gospodarza 17,5. Ze względu wszakże na jakość gleby i jej wydajność, dopłata owa—zdaniem p. Blocha — mniej więcej równoważy się w całem państwie. Wątpię atoli, czy tak jest istotnie, bo przecież grunty włościańskie w Królestwie Polskiem nie należą do przednich, a nawet są gorsze, niż w wielu miejscowościach Cesarstwa. Z zestawienia cyfr powyższych widzimy, iż włościanie, kupując ziemię gromadnie, dostają z Banku pożyczki, wynoszące ⅔—¾ ich własnych wkładów, pojedynczo zaś muszą dopłacać niemal połowę.

Przy pomocy Banku włościańskiego do d. 1 stycznia 1894 r. w Królestwie Polskiem nabyto ziemi na sumę 3,936 954 rs., z tego włościanie dali 1,131,287 rs. (29%), instytucya kredytowa 2,805,667 rs. (71%). Spółki nabyły ziemi na sumę 3,927,384 rs. (99,7%), pojedynczy na 9,570 rs. (0,3% całej sumy kupna). Pożyczki, zaciągnięte przez tę ostatnią kategoryę, wynoszą zaledwie 5,470 rs. P. Bloch upatruje przyczynę tak skromnych rezultatów w tem, iż „Bank włościański, jako instytucya, kierowana przez urzędników państwowych z zarządem w Petersburgu, musi mieć procedurę bardziej skomplikowaną, a więc kosztowniejszą, mniej dostępną dla gospodarstw drobnych, musi stawiać wyższe wymagania, niżby to mogło zrobić Towarzystwo kredytowe ziemskie, rozporządzające całym aparatem dyrekcyj szczegółowych, delegatów itp., który możnaby doskonale przystosować do potrzeby."

Zaznaczyć jeszcze należy, iż Bank wogóle udziela pożyczki na termin lat 24½ i 34½. Oczywiście z tego drugiego terminu włościanie najczęściej korzystają. Z t. zw. „funduszu użyteczności publicznej," to jest z kapitałów zaoszczędzonych przez Towarzystwo kredytowe ziemskie, Bank włościański wydał na pożyczki 228,188 rs., co stanowi prawie 6% ogólnych funduszów, udzielonych włościanom. Rzecz dziwna, iż dotąd korzystały z kredytu wszystkie gubernie Królestwa, z wyjątkiem suwalskiej. Zjawisko to nie jest dotąd wyjaśnione i nie daje powodu do mniemania, iż tam lud nie odczuwa braku ziemi; jest bowiem mowa o pożyczkach niedoszłych do skutku. Można raczej mniemać, że to wynika z przeszkód czysto miejscowych, utrudniających Bankowi kontrolę i sprawdzanie. W każdym razie znaczna część ludności jest pokrzywdzona, więc należałoby istotną przyczynę wyświetlić i wszelkie przeszkody usunąć. W r. 1893 Bank nie udzielił również żadnej pożyczki w gubernii płockiej.

Ważne są dane, wyświetlające, jacy włościanie i w jakim stopniu korzystali z kredytu. W Królestwie najwięcej klientów dostarcza klasa bezrolnych, podczas gdy w Cesarstwie pożyczają oni najmniej. P. Bloch stąd wnosi, iż u nas więcej, niż gdzieindziej, znajduje się „proletaryatu rolnego." Jest to prawdopodobne, ale niewątpliwie istnieją i inne przyczyny, dotąd nie wyjaśnione dostatecznie. W Cesarstwie Bank działa o siedem lat dawniej (od r. 1883), więc znaczna liczba bezrolnych miała sposobność zaopatrzyć się w grunty. Zresztą wogóle po za granicami Królestwa lud posiada więcej ziemi i nie rozdrabnia go tak okropnie, jak u nas. Stosunki procentowe wierzycieli Banku pozostają w związku z ogólną liczbą włościan różnych kategoryj. Zestawienie cyfr niekorzystne daje oświetlenie dla Króle-

stwa Polskiego. W całem Cesarstwie średnio zamożni stanowią $^1/_4$ ogółu, gdy u nas mniej, niż $^1/_{20}$. Bogatszych włościan w guberniach litewskich jest stosunkowo cztery, a w Cesarstwie trzy razy więcej, niż w Królestwie. Z innych rubryk widzimy, iż u nas włościanie zamożniejsi pożyczają w stosunku do nabywanej ziemi nieco mniej, niż biedniejsi, czego wcale nie widać w Cesarstwie. W r. 1891 bezrolnych nabywców u nas było 771 (54,8% ogółu), a w r. 1892 — 941 (48%). W r. 1893 ogólna cyfra z tej kategoryi w ciągu lat trzech urosła do 3,521. Z r. 1890 nie ma danych; p. Bloch jednak oblicza, iż przez cały czas działalności Banku w Królestwie 4—5,000 rodzin bezrolnych doszło do posiadania kawałka ziemi.

Powyżej zaznaczyliśmy przeciętną cenę ziemi u nas i w Cesarstwie. Niemniej ciekawe są dane, wykazujące cenę morga w każdej gubernii i kategoryi nabywców. Niepodobna nam przeciążać artykułu cyframi; poprzestaniemy więc tylko na ogólnych wywodach. R. 1893 bezrolni i małorolni przeciętnie kupowali w Królestwie grunty drożej, niż włościanie zasobni w ziemię. Zjawisko to wszakże nie jest stałe, gdyż w paru pojedynczych guberniach było wprost przeciwnie. Natomiast wszelkie zestawienia stale wykazują, iż cena ziemi w całem Cesarstwie jest 2, 3 do 4-ch razy tańszą niż w Królestwie. Jest to niezmiernie ważny czynnik w kosztach produkcyi. W Królestwie Polskiem przeciętna cena ziemi nabywanej przez włościan przy pomocy banku r. 1893 wynosiła 63 rs. za mórg r. 1892 — 62½, r. 1891 — 68 rs. „Wiadomości statystyczne" Towarzystwa kredytowego Ziemskiego podają ostateczny szacunek morga dóbr stowarzyszonych w gub. warszawskiej rs. 54¼, w kaliskiej 49¼; dla grupy zaś majątków rozparcelowanych w pierwszej rs. 39, w drugiej — 52¼. Przy sprzedażach przymusowych płacono przeciętnie za morg w gub. warszawskiej r. 1891 rs. 34, w kaliskiej 33; r. 1892 w pierwszej rs. 38, drugiej 39. Z tych danych Bloch przychodzi do wniosku, iż udzielenie dogodnego kredytu własności drobnej dostarczy pożądanych nabywców zagrożonej posiadłości większej, a zatem wpłynie zbawiennie na jej pomyślność i stać się może jednym ze środków ratunku.

Drog.

— Dla podniesienia przemysłu tytoniowego w państwie, ministeryum postanowiło wydawać fabrykantom pożyczki bankowe w stosunku 60% wartości towaru, oszacowego przez urzędników Banku wspólnie z delegatami akcyzy. Wyroby tytoniowe zagraniczne będą wykluczone z tego przywileju. (*Grażdanin*).

— Zarząd kasy oszczędności przy warszawskim kantorze Banku państwa zawiadamia posiadających pieniężne wkłady i pragnących je umieszczać, że od 13-go lipca r. b. płacić będzie uczestnikom procent w wysokości rs 2 kop. 40 od stu rubli. Wysokość wkładu jednej osoby oszacowaną jest na rs. 1,000; instytucyj lub towarzystw na rs. 3,000. Po dojściu kapitału wraz z procentem do tej wysokości, bieg procentów ustaje. Jeżeli żadne rozporządzenie ze strony właścicieli kapitałów nie nadejdzie w ciągu miesiąca, to zarząd kasy zakupi papiery procentowe, które przechowywać będzie i sprawdzać ich losowanie bez żadnej za to zapłaty, oraz realizować kupony na rachunek depozytaryusza. Każdy składający powinien wymienić osobę lub instytucyę, która w razie jego śmierci pieniądze ma prawo odebrać. Kwoty, nie przekraczające 1,000 rs., wolne są od podatku spadkowego.

— Magistrat warszawski zawiadamia, że tylko do d. 13 go sierpnia r. b. przyjmować będzie podatek szpitalny po rs. 1 od osoby. Wszyscy, którzy do tego terminu nie uiszczą pieniędzy na ręce dozorcy administracyjnego właściwego rewiru lub wprost w kasie szpitalnej w magistracie, oprócz opłaty, będą musieli wnieść karę pieniężną do trzech rubli, ci zaś, u których mieszkają niepłacący podatku, ulegają karze do 10 rubli.

O PRAWDĘ.

(Popis szkoły dramatycznej).

Szanowny Panie Redaktorze!

W niedzielę d. 23 czerwca odbył się popis naszej szkoły dramatycznej. Osobiście spodziewałem się daleko ostrzejszych sądów o swojej grze, lecz czemu z areopagu krytyków niektórzy pominęli zupełnie moich kolegów i koleżanki wybitnej pracy i talentu? Większość głosów sprawozdawczych wywarła przygnębiające wrażenie, otumaniła nas, pozostawiając może na rozstajnych drogach.

Zestawiwszy wszystkie recenzye z naszego popisu, przekonywamy się, że krytycy mają wprost przeciwne zdania. Oto np. gdy I-szy z nich pisze: „Najbliższą sceny i najlepiej przygotowaną jest panna X.," II-gi utrzymuje: „panna X. z pięknej rolki nic nie wykrzesała." Następnie I-szy twierdzi: „Ze wszystkich uczniów nikt nie mówi wyraźnie i nikt nie miał przyjemnego głosu," II-gi zaś: „Wszyscy uczniowie mówili wyraźnie i obdarzeni są łagodnymi głosami." I-szy: „Panna Y. nie wykazała ani odrobiny zdolności, ani nawet poprawnej wymowy," II-gi: „Panna Y. ma już rutynę sceniczną i wdzięk błyszczących się młodością oczu." I-szy: „Rutynowaną, posiadającą głos dźwięczny jest panna Z., mówi z siłą i przekonaniem," II-gi: „Panna Z. posiada wiele cech artystycznych," jednakże reszta krytyków zupełnie ją pominęła. I-szy: „Panna F. ma twarz podatną do szybkich skurczów, takie błyskawiczne zmiany wywołały doskonały efekt," II-gi: „Panna F. dobrze grała, szkoda tylko, że maska twarzy pozbawiona zupełnie ruchliwości." I-szy: „Pan O. materyał surowy." II-gi: „Pan O. posiada talent, niech dalej pracuje"; inni krytycy pominęli go zupełnie. Takich sprzeczności znajdujemy mnóstwo.

Wobec takiego smutnego faktu okazuje się niezbędną krytyka samej krytyki.

Czy panowie sprawozdawcy oceniają grę naszą, czy wspólnie się ośmieszają? Co znaczy ich kaznodziejsko-konserwatywny pogląd na życie aktorskie? Dlaczego większość tych panów „burtem" nawraca nas z wyklętej tradycyjnie drogi i zamiast krytykować wady uczniów: niezdolnych potępiać, zdolnym dodawać otuchy i wskazywać drogę dalszą, krzyczą: uciekajcie ze sceny, gdzie pieprz rośnie! Czy sądzą, że scena nasza niewarta, aby się dla niej poświęcić? Możnaby sądzić, iż to zamach na szkołę dramatyczną, gdyż jeden tylko głos odezwał się, że czas, aby ona przestała traktować połowicznie swe zadanie i była nareszcie rzeczywiście szkołą dramatyczną. Czy dawne szkoły nie wydały dzielnych aktorów? Czy obecnie mają się oni rodzić za podmuchem wiatru, lub brać lekcye u sprawozdawcy, p. M.? Dlaczego od wielu lat część krytyków odzywa się niby z łaski o mężczyznach, skupiając całą uwagę na kobiety, jak gdyby przychodzili tylko po to, aby zobaczyć, czy nie ma tam jakiego ładnego buziaczka, który mógłby powiększyć liczbę hurysek teatralnych? My, młodzi, wiemy, że nam wiele jeszcze brak, abyśmy się mogli nazwać aktorami. Wszakże nie zapach szminki prowadzi nas dalej w obranym zawodzie, lecz zamiłowanie i myśl, iż cierpliwością i pracą dojdziemy do celu. Wymagamy wskazówek, nie zaś frazeologii i rościmy do nich prawo przy ogólnie uznanych zewnętrznych warunkach i pierwiastkowo nie rażącej grze, gdyż nie każdemu sądzono spełniać funkcye d-ra filozofii, ukończywszy kilka klas gimnazyalnych. Zaznaczam głównie, że rzetelna praca i zdolności nie znalazły uznania (Filipi i Nowolecki).

Szkoły, jeszcze raz szkoły i więcej takich profesorów, jak p. Rapacki, a wszystkie role będą równie dobrze odegrane, jak owej charakterystycznej subretki, którą zjednała sobie uznanie ogólne. Zawsze u nas tak było: mówimy, że jest źle, ale nie szukamy przyczyn, nie staramy się złemu zaradzić. Dlaczego?

Jerowski.

Ta dziwaczna, często śmieszna lub gorsząca sprzeczność zdań krytyki, objawia się u nas na każdem polu. Jeśli wszakże będący jej ofiarami pracownicy dojrzali, już niepotrzebujący wskazówek, poprostu z lekceważeniem puszczają ją mimo uszu, to ludzie młodzi, wsłuchujący się uważnie w ton harmider krytyczny i oczekujący od niego dobrej rady, są nim oszołomieni i nieraz krzywią sobie drogi życia. A jeżeli my nie umiemy zdobyć się na zasadny i bezstronny sąd o popisie uczniów sztuki aktorskiej, to co mówić o sprawach trudniejszych i przedmiotach wyższych!

Red.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Projekt ustawy miejskiej dla Królestwa Polskiego ostatecznie już opracowano. (*Now. Wr.*).

— We Lwowie wybuchła zmowa robotników cegielnianych. Strycharze żądają lepszej płacy, lepszego pomieszczenia i wody do picia. (*Kuryer warsz.*).

— W Krakowie ks. Wanda z hr. Ossolińskich Jabłonowska ofiarowała bezpłatnie grunt na budowę przytuliska dla sług tudzież pracowni dla robotnic, pozbawionych chwilowo zajęcia.

— Z polecenia władzy ministeryalnej z d. 13 b. m. wszystkie zakłady fabryczne, posługujące się robotnikami, wynajmowanymi na dniówkę, obowiązane są do zapisywania wypadków nieszczęśliwych w stosownych książkach. Składają się one z kart, podzielonych na trzy części, z których dwie do odrywania i jedna do pozostawiania przy grzbiecie. Kartki owe przesyłane będą jako uwiadomienie o wypadku do inspekcyi fabrycznej. Książki prowadzone będą specyalnie dla wykazywania środków zapobiegania nieszczęśliwym wypadkom. Notowanie w nich wypadków nie uwalnia fabryki od sporządzenia odpowiedniego protokółu w celu przeprowadzenia śledztwa sądowego.

Z prasy. P. Tadeusz Strzembosz zawiadamia nas, że od 1-go października zacznie znowu wychodzić tygodnik *Głos* pod jego redakcyą.

Szkoły. W Budapeszcie senat uniwersytecki uchwalił przyjmowanie na wykłady kobiet, przygotowanych odpowiednio i udzielanie im dyplomów z odbytych studyów.

— W Krakowie na naradach nauczycieli szkół ludowych miejskich, inspektor Twardy przedstawił w cyfrach obraz dwudziestolecia. Przedtem było w Krakowie szkół 9 (5 męskich, 2 żeńskie i 2 mieszane), obecnie zaś jest 9 szkół męskich, 10 żeńskich; obejmowały one pierwotnie 42 klas, obecnie 115. Osób stanu nauczycielskiego było przed 20 laty w Krakowie 66 (41 nauczycieli i 25 nauczycielek), obecnie 170: 65 nauczycieli i 105 nauczycielek. Do tych szkół uczęszczało 1,410 chłopców i 877 dziewcząt, razem 2,287 dzieci, obecnie uczęszcza 3,088 chłopców i 3578 dziewcząt, razem 6,661 dzieci. Wydatki na płace wynosiły pierwotnie 27,129 złr., obecnie 105,000 złr. Szkoły mieściły się dawniej w wynajmowanych budynkach z wyjątkiem trzech, teraz wszystkie mają własne gmachy, oprócz dwóch. Liczba szkół prywatnych nie uległa w tym okresie większym zmianom. Przed dwudziestu laty było obowiązanych dzieci do uczęszczania na naukę 7,291, dzisiaj 12,160. Oprócz elementarnych i czteroklasowej wydziałowej żeńskiej, posiada Kraków przy tejże szkole kursy dopełniające, a przy szkołach ludowych — przemysłowe, których dawniej wcale nie było.

Zdrowie publiczne. Rada miejska dobroczynności publicznej pozwoliła na wybudowanie przy szpitalu Dzieciątka Jezus trzeciej sali operacyjnej.

— W galicyjskich zakładach zdrojowych i klimatycznych jest dotąd znacznie mniej osób, niż w latach poprzednich.

— Poruszono sprawę urządzenia szpitalów kolejowych.

— We Włocławku kosztem funduszów miejskich urządzona będzie lecznica dla przychodzących chorych. Porada lekarska i środki apteczne udzielane be-

dą ubogim bezpłatnie, innym za opłatą nie przewyższającą 30 kop. Ustawę tego zakładu już zatwierdzono.

Wystawy i zjazdy. W Paryżu odbył się piąty międzynarodowy kongres więzienny. Wzięło udział 25 delegacyj urzędowych z Anglii, Austryi, Badenu, Bawaryi, Belgii, Danii, Francyi, Grecyi, Hamburga, Hiszpanii, Holandyi, Japonii, Luksemburga, Nikaraguy, Norwegii, Portugalii, Prus, Rosyi, Rumunii, Saksonii, Stanów Zjednoczonych, Szwajcaryi, Szwecyi, Węgier, Włoch, Würtemberga. Ogólna liczba członków kongresu: 400.

— Podczas wystawy gospodarczej w Moskwie, zapowiedzianej na listopad, odbędzie się zjazd rolników, na którym ma być poruszona sprawa rozmaitych ulepszeń, sposobów ich zastosowania i rozpowsze-[illegible]

— W Amsterdamie na sierpień zapowiedziano wystawę produktów spożywczych.

— W Moskwie d. 27 sierpnia otwarty będzie IV-ty zjazd kolonii poprawczych.

— W r. 1897 odbędzie się w Sztokholmie wystawa artystyczno-przemysłowa, przeznaczona dla utworów i płodów Szwecyi, Norwegii i Danii, a także dla innych, o ile miejsce pozwoli.

— W Dreznie odbędzie się we wrześniu 17 kongres międzynarodowego Stowarzyszenia literacko-artystycznego.

Koleje i komunikacye. *Świat* zapewnia, iż jedna z większych fabryk elektrotechnicznych otrzymała propozycyę (od kogo?) przeprowadzenia doświadczeń zastosowania siły elektrycznej do ruchu pociągów.

Wypadki. D. 9 lipca trzęsienie ziemi w Uzun-Ada zburzyło wiele domów; niektóre przystanie zalała woda morska. Tor kolejowy zrujnowany.

— W Kwebeku pociąg, wiozący pielgrzymów katolickich, wpadł pod Craigsroad na pociąg zwyczajny. Dwudziestu kilku pasażerów zabitych, 40 ciężko ranionych.

— D. 5 lipca spalił się Zambrów pod Łomżą (225 domów). Przeszło 2,000 ludzi zostało bez dachu.

— Na Wezuwiuszu otwarły się dwa nowe kratery, wyrzucające obficie lawę.

— Z Rzymu donoszą, iż w okolicach Modeny i Mantui grad zniszczył zboża i winnice.

— Spalił się Łojów, miasteczko w gub. mińskiej.

— D. 30 czerwca w Dźwińsku zetknęły się dwa pociągi towarowe. Trzynaście wagonów i trzy parowozy uległy zdruzgotaniu. Jeden maszynista ma połamane ręce i nogi, pomocnik — kilka żeber połamanych i skaleczoną głowę. Pokaleczeni także smarownik i dwóch palaczów, wreszcie jeden podróżny, jadący przy koniu w wagonie towarowym.

Zmarli. Edward Dubus, w Paryżu, poeta i literat francuski.

— Jan Koehler, we Lwowie; śpiewak-barytonista, niegdyś artysta opery warszawskiej.

Staraniem Spółki Nakładowej wyszedł z druku:

ZARYS

NAJNOWSZEJ LITERATURY POLSKIEJ

(1864—1894)

przez

Dra Piotra Chmielowskiego.

Str. XX i 484.

Cena rs. 2 kop. 50, z przesyłką rs. 2 k. 80.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 30 Іюня 1895 г.

Druk K. Kowalewskiego, ul. Mazowiecka, Nr. 8.